XXIV OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

im. Mieczysława Stryjewskiego

Lębork, 27 listopada 2009 r.

ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenie Civitas Christiana w Gdańsku
Farm Frites Poland SA

wybierzLębork.pl

PATRONAT HONOROWY:

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
Patronat prasowy DZIENNIK BAŁTYCKI

wizyta

przyjdę odejdę
jestem
jeszcze piętnaście minut
przejrzę się w lustrze wiersza
by zobaczyć siebie
gdzie jestem

Mieczysław Stryjewski

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący
Stanisław Janke
Daniel Odija
Roman Pryl
Wojciech Wencel

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Maria Rytelewska (Myszków)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Wojciech Roszkowski (Tykocin)

II nagroda Przewodniczącego Rady Miasta w Lęborku
Edyta Wysocka (Miastko)

III nagroda
Ewelina Kuśka (Jastrzębie Zdrój)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Bartosz Jastrzębski (Wrocław)

II nagroda Przewodniczącej Rady Powiatu Lęborskiego
Marta Wielgoszewska (Łęczyn)

III nagroda
Cezary Dobies (Inowrocław)

NAGRODY SPECJALNE

Burmistrza Miasta Lęborka
Tadeusz Buraczewski (Reda)

Nagroda im. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Łucja Gocek (Chojnice)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Elżbieta Bugajna (Goręczyno)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Bolesław Bork (Rekowo Górne)

Nagroda dla młodego twórcy lęborskiego
Karolina Wiercigroch (Lębork)

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego

Maria Rytelewska

Dziubak czyli notatki o umieraniu

I

Wysoki i chudy. Kostyczny i wyniosły.
Zgorzkniały i cyniczny. Nieprzystępny, niesympatyczny.
Taki był, kiedy żył. Teraz Dziubak umiera.

II

Do pokoju, w którym umiera Dziubak, prowadzi wąski korytarz.
Właśnie tu stoimy, ja i M.
Stoimy obok siebie, przytulani lub raczej sklejeni
ze sobą w jedną, a przez to większą, silniejszą osobę.
Bliżej. Im bliżej, tym bezpieczniej.
Nie boję się śmierci. Boję się, że umrę z innego powodu niż miłość.
Korytarz jest ciemny, pokój jasny.
Korytarz jest zimny, pokój ciepły.
Jaki niepokojący i nachalny jest ten kontrast.
I jaka dziwna ta siła, grawitacja, która tak długo nie
pozwala nam oderwać stóp od podłogi. My tu, Dziubak tam.

III

Pokój jest niewielki. Dwa wąskie łóżka, dwie małe szafki.
Na każdym z łóżek – mężczyzna. Nie, nie mężczyzna – postać.
Między łóżkami – my.
Jeszcze bardziej sklejeni. A także zdezorientowani, ponieważ w żadnej z postaci nie rozpoznajemy Dziubaka. A przecież znamy go dobrze. Znamy, znaliśmy. Czyżbyśmy pomylili pokoje? – To ten. – Mówi pielęgniarka.
Jak to możliwe, że umierający Dziubak stał się tak podobny do mężczyzny z łóżka obok? Mężczyzny, z którym nic go nie łączy, żadne pokrewieństwo? Jedynie ten pokój.
I umieranie. I jak to możliwe, że Dziubak przypomina mojego umierającego dziadka? Śmierć równa wszystkich i wszystko. Mors omnia adequat.
A więc śmierć zabiera nawet tożsamość. Ujednolica, zniża się do wspólnego rytmu, zapachu, kształtu. Sprowadza wszystkich do jakiejś wspólnej rasy i płci.
Płeć? Na co umierającym płeć?
Umieranie – pękanie granic, zmiana perspektywy.

IV

Pielęgniarki już nie chciały go myć.
Mówiły, że śmierdzi śmiercią i nic mu już nie pomoże. Podobno podczas obmywania ciała umierającego Aelreda z Rievaulx, jego ciało zaczęło jaśnieć niezwykły blaskiem i wydawać miły zapach, niczym woń kadzidła, ukazując tym samym jego przyszłą chwałę. Skóra Dziubaka jest zbyt przezroczysta, by mogła mu służyć za kryjówkę.
Było mu zimno, więc skulił się tak, aż zniknął w bladym pejzażu prześcieradła.

V

Podobno Dziubak nie jest martwy.
Podobno jest tylko śpiący. Z jego ust kruszy się życie i opada płatkami – białymi, chłodnymi jak szron.
– Czy on dzisiaj coś jadł? – pyta M.
– Skąd! On już od kilku dni jest w swoim świecie. Odpowiada pielęgniarka.
W swoim świecie? Czyli gdzie?
Dziubak mamroce coś. Nie rozumiemy co. Po czym wyciąga rękę i błądzi nią w powietrzu. Z początku myślę, że czyni to nieświadomie i bez celu, lecz po chwili orientuję się, że wyraźnie czegoś szuka. Że szuka kogoś. Nas.
Dziubak trafia w końcu prawą dłonią na lewe ramię M.
Zaciska na nim palce. Fatamorgana z ciepłej strony lustra.
M. głaszcze Dziubaka po policzku.
Umieranie. Wszyscy jesteśmy nadzy.
Żyjący Dziubak uciekał od dotyku.
Umierający Dziubak goni za dotykiem.
Żyjący Dziubak nie miał odwagi dotykać.
Umierający Dziubak nie ma nic do stracenia.
Umieranie. Wreszcie można się nadotykać.

VI

M. przyniósł Dziubakowi jakieś gazety i książki do czytania. Ale gafa.
Jestem pewna, że gdyby Dziubak mógł mówić, w tym właśnie momencie natychmiast by zaniemówił!

VII

Let me take your hand. I'm shaking like milk. Doo doo doo doo. Let's go to bed ...
Położyć się do łóżka czyli chorować. Chorować czyli umierać. Łóżko czyli śmierć.
Pierwszy akt umierania zaczyna się w dniu narodzin.
Łóżko – czyli życie. Łóżko – czyli śmierć.

VIII

Dziubak jest cały nagi. Przykryty jedynie lekkim prześcieradłem. Nasza obecność sprawia mu ból i wykrzywia twarz. Janusz Dziubak. Od lat był wyłącznie Dziubakiem. Właśnie to słowo – Dziubak – pasowało do niego najlepiej. Idealnie. Było niczym szczelny, chitynowy pancerz, z jednym wejściem – w miejscu wąskich, złośliwych ust. Dziubak. Prawie jak Dziobak. Bo „dziobał", kiedy żył. Teraz umiera i wygląda tak czysto, niewinnie, naiwnie. Prawie jak dziecko. Jak Januszek? Januszek... Żyjący Dziubak udawał. Umierający Dziubak nie ma siły udawać. Żyjący Dziubak potrafił się bronić. Umierający Dziubak jest bezbronny. Więc umiera. 1 lipca 2008 roku.

I MIEJSCE W KATEGORII POEZJI
NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

Wojciech Roszkowski

ROZPOZNAWANIE ZAPACHÓW

(...) przez czarne klify, przez rzeki bez mostu, wędrujesz we mnie.
Fernando Pessoa

dopóki nasze kobiety krwawią w piasek, w kocie
kuwety, podlewają miejsca, gdzie nic nie wyrośnie,
to dobrze. tak właśnie ściele się ugór, wydmy

z popiołem w środku. nie znam tu nikogo. dach mojego
domu jest grafitową płachtą z worków na zwłoki.
oddychamy przez niewielki prześwit. spróbuj,

możesz wysunąć palec. smętne są pieśni w lizbonie,
wleczone w szpary między żebrami przez zadymione okna
tawerny. *saudade, saudade* skrapla powietrze, żłobi wstęgi fal.

tym właśnie przenika fado: zmęczeniem oceanu,
postrzępioną sierścią, odcieniem jodyny. jest wiele ulic i placów,
gdzie kamienie ścierają blizny, stare tatuaże, także ciebie.

a nad ranem toną w rdzy. podmiejskie kolejki, czerwonawe
pięty dziewczyn, wysuszone dłonie kobiet - wirujący
korowód. i niech pachnie nam safian, i niech płynie fado: kirem,

z ptakami na uwięzi, rybami. w smaku młodych piersi. w czymkolwiek.

*saudade (nieprzetłumaczalne) - portugalski autostereotyp, rodzaj nostalgii
i melancholii, podstawowy środek wyrazu muzyki fado (port. los, przeznaczenie)

BÓG NA MIGI. INTYMNIE

6:37

jakbym jeszcze się dziwiła. splatasz ciało i rozciągasz na tylnym siedzeniu,
mam być włosem w szwajcarskim zegarku, a jestem tylko szmerem w sercu,
częstoskurczem.

dzyń, dzyń, tak mi odpowiadasz

i pytasz: *jaką przyjemność z zemsty miałyby zwierzęta?*
prowadzę, deszcz chlupie albo

to żaby chlipią w tańcu pod kołami, chcąc przejść na drugą stronę
drogi. w cenie jest bliżej, jeszcze bliżej cienia. jakby się oddawało
mocz w nieznanym miejscu. przekonanie,
że rozsypane zapałki grzęzną w cieczy. coraz wolniej pływają mrówki.

12:42

parking strzeżony. w zamkniętym aucie upał zagryzł dwa
rottweilery. lśniąca i srebrzysta czytam *regulamin tłoczni win*. bóg chce.

dzyń, dzyń, tak mi odpowiadasz,

wychodzimy w siebie, naprzeciw. bóg chce - nie wiązać z nami końców.

ŚWIST WYSYSANYCH ŚWIERSZCZY

trzask - kruche ciałka galopują w ciemnościach. wyludnione
ze mnie zjadają korzenie, części martwe. w sklepie nocnym

lepię z nich wózki na zakupy. smaruję kółka i wprawiam
w ruch. mięso, wędliny, owoce morza. drgania posadzki

przenoszą się na półki, budzą ćmy w zakamarkach.
potrafisz wyobrazić sobie dźwięk, jaki wydają skrzydła,

szurając o siatkę wentylatora?
nie, nie, posłuchaj: to raczej jak szmaciany
strach na wróble; stoisz w oknie, a on wysuwa się z objęć, spada i wiruje,

wiruje i furkocze. noc jest ciasnym pierścieniem na palcu, wkoło park,
młode pędy oplatają księżyc. zapach jaśminu. teraz siedzisz z nim

na ławce. wiem, o czym myślisz. nie podnoś wzroku - ma oczy otwarte.

MIĘDZY NIEBEM A NIEBEM

(...) ta osoba młoda i piękna, którą obiecałem
był innym razem uważać i widzieć, nagle umarła w nocy.
Cyprian Kamil Norwid

/lipiec. epizod/

chichot w zbożu, ziarna strącane za pasek.
połyskująca w słońcu klamra uwalnia
zające. mkną blade i gładkie skórki odbijane
od muru martwego ewangelickiego cmentarza.

tego dnia usłyszałem puls neurastenicznej melodii,
kłosy pochylały się jak cykady w roju, wiatr
od łąk tłumił szelest kartki z wróżbą, puszki
pandory ze złotym rogiem, w kieszeni jasnobłękitnych
jeansów. przeczytam ją kilka miesięcy później.

luiza, nie domyślasz się jeszcze, że nie jestem ostatnim
facetem, z którym chcesz przejść przez życie.

/piętra. wysokość względna/

wcześniej, znacznie wcześniej,
zapomniany dziś cmentarz wśród lip nurza się w kwiecie
wieku. dziadek wykuwa oskardem przestrzeń dla kolejnych
pokoleń, skrzynie łączy warstwa lepkiej gliny, cienki woal,
intymna więź tkanek. wątłe zrazu

korzenie drzew snują pajęczynę, a gdy po latach zabraknie
soków, upomną się o swoje, pójdą w drugą stronę, przez parkan,
leśny pagórek i niedomknięte okno na poddaszu naszego domu.
wplotą się w rozrzucone na poduszce włosy.

zanim o świcie mgła spowije dachy, zgęstnieją chmury,
w innym miejscu mojra przetnie jedną z nitek.

/za horyzontem przeglądam się w szybach/

a jeśli *czas i przypadek rządzi wszystkim?* kartka wciąż pachnie
chemią, w tle biel wykrochmalonych fartuchów.
wiesz, luiza, znajdę go pod kamieniem, pośród pnączy
w ogrodach hesperyd, jeśli trzeba przejdę siedem kręgów.

drzewo i dom, magazyn na peryferiach kolejnego miasta.
synku, mam ciebie tylko przez chwilę, a ty mnie przez wszystkie
znaki zodiaku, rok po roku na każdym niebie.

tak cicho, jakby cię wcale nie było. wtapiasz się w odcienie szarości,
półmrok między hałdami węgla i śniegu.

(fragment kursywą: Kohelet 9, 11)

II miejsce w kategorii poezji
nagroda Przewodniczącego
Rady Miasta w Lęborku

Edyta Wysocka

Prababka Marianna i rytuały

zawsze wybierała brzask - świeżość ciężarną
jak rozwidniałe pąki z nadzieniem rosy
nawijała na palce stygmaty grzechów
aż przypływały blisko ku wezgłowiom soczystej brzeziny
przywracały oddech nagiej niewierności
a palce kościste sączyły światło liliowe od sasanek
i do jej zmierzchu dochodził jaskrawy świt
rozwietrzał suche butwiny starości

tak prababka marianna
odczyniała rdzawe raszki czasu
skrzypką oddechu rozchylała żebra płuc
wprost ku życiodajnym amforom ziół

dreszcz ciała czy duszy
samookaleczeń konfesjonał
(któż to wiedział)
albo życie nade wszystko
i zapach siebie

prababka miała moc czynienia
uprawiała czary
...weź czarnuszkę glistnik kurze ziele jajo cuculus w białe pręgi
traszki żółtej i zaskrońca czarnowron gorzki wrotycz vulgare
gniazdo zimorodka z konwalią lanuszka majową zimodrętw
lelka kozodoja w dzikiej leszczynie z kosmopolitycznym kleszczem
i jeszcze i jeszcze...

moja prababka Marianna Kopp-Ostrowska
z domu Chamier-Gliszczyńska
zaściankowa szlachcianka
rodowita kaszubka
żyła lat 101

Babcia Marta rozbiera choinkę

2. lutego – m.b.gromnicznej 2009

miedziany dzwonek *oberndorf 1940* w leciutkim *stille nacht*
skruszały brokat skrzydeł anioła usypuje gwiazdki na włosach
babcia rozbiera choinkę
układa relikwie w zaśniedziałych skrytkach czasu

– pajacyki kraciaste co stryj od poczciwego żyda kupił za pięć jaj
a tego żyda zabrali zaraz po ewakuacji
– biedronkę na wydmuszce wykropkowaną paluszkami małej anulki
co dzieckiem będąc aniołkiem w niebie się stała
a wydmuszkę obgryzły myszy bo klej był z mąki i wody
– przedwojenną bombkę z wyciśniętą rozetą
która wydawała się najpiękniejsza lecz nadtłukł ją dziadek
i babcia przewidziała że to fatum
– słomiane gwiazdki od pani zosi gdy z nią wielka przyjaźń dziadków była
i wspólne wigilie a później babcia płakała bo pani zosia urodziła dwojaczki
całkiem podobne do dziadka chociaż dziadek się wypierał
– sześć złotych szyszek za sprzedane butelki po czystej zwykłej
z czerwonymi nalepkami pozbierane na gruzach przez małego jeszcze wujka
zaraz po wojnie gdy bieda była wielka
– sianko że nawet prababcię mariannę pamięta jak mościła nim
jezuskowi pod dawnymi rozłożystymi drzewkami z pradziadkowego lasu
ale ten las zarekwirowano

pozytywka z dzwoneczkiem lekko pluska *stille nacht*
babcia rozbiera choinkę
mówi że to jej ostatnia

Dziadek Augustyn

teraz korzeniami i rdzą obrasta
wśród skarbów i czaszek
w fosyliach wzgórz klasztoru benedyktynów
i jest jak złoty mostek na zębach babci
co zostawiony był jej po śmierci
albo jak ten medalik z świętą anną karatów 24
spod monte cassino dla niej
po jego bohaterskiej...

w szkatule po dziadku zostały listy i:
5 frans 1851 liberte egalite fraternite w srebrze
pocztówka cunard white mauretania - "kochani
dnia tego dopłynąłem..."
jeszcze fotografia „10 lutego - od elizy dla augustyna..."

babcia była zazdrosna
lecz nigdy nie dowiedziała się
kim była ta wcięta w talii tajemnicza amica else

dziadek miał trzy żony
siedmiu synów z prawego łoża
gniadą klaczkę baśkę
i pierś w zasługach

szkatułkę odziedziczyłam
z zapachem jego wojennej tułaczki
dołożyłam do niej
dziesięć tysięcy z janem pawłem II
z puli zasłużonych dla prl
(tu dziadek podszedłby ambiwalentnie)
i dwa rdzawe pfennigi
wykopane na własnej grządce
jeszcze kopiejkę cccp – w zwieńczeniu sierp i młot
(to by się dziadkowi nie podobało)
a o pliku banknotów z waryńskim z 15 V 1946
wolałabym dziadkowi nie wspominać

dziadek augustyn rocznik 1912
niemcy anglia francja włochy
linia gustawa przełamana
cmentarz poległych
jurność ułana

Podwórko 1950

duże jak pastwisko sikorów. biegamy na bosaka.
tutaj jest najlepiej bo kury motylki różne i pełno dzieci zza bagien.
i chrabąszcze łażą grube. te co nasza kwoka strasznie lubi. mama ją nasadziła na jajka
żeby były kurczaki na rosół dla brata bo jest chudy i zawsze chory.
i szkiełka kolorowe są różne. najładniejsze zawijamy sobie w szmatki. dziadek mówi
że to były niemieckie talerze ale ruscy je wytłukli.
po kurach leży pełno suchych gówienek. głupi stachu od sikorów jak jeszcze żył to rysował nimi
na barakach bardzo ładne obrazki. ten co był kulawy i nie miał jednego oka.
pod barakami mieszkają szczury. jeden strasznie piszczał jak sławek w niego kamieniami.
a za krzakami na zupełnie nowym kocu leży taki aluś. zawsze coś czyta i chodzi już do gimnazjum. janka mówi że jest ładny i bardzo mądry. gdyby na mnie spojrzał to bym chyba umarła ze wstydu. jego babcia jest stara i krzyczy raus. ma krzywy nos z pypciem i piecze pierniki. sławek powiedział kiedyś że to jest poniemiecka baba jaga. i my się jej teraz boimy. ten sławek ma dużą głowę i strasznie skarży. dziadek mówi że jego ojciec grabi po niemcach. bo skąd by oni mieli takie błyszczące pianino w ładnym pokoju. ale nie dadzą nam ruszyć ani jednej białej grającej kostki. a ja bym za to i lalkę ze strychu i szkiełka i poziomki ze strzelnicy...
strzelnica jest za barakami i tam straszy duch głupiego stacha bo on kiedyś zrobił naszej jance coś brzydkiego że aż leżała w łóżku i się nie odzywała nawet do mnie. potem jak ten stachu wykopywał skarby po niemiecach to rozerwała go bomba i janka powiedziała że dobrze mu tak.

III miejsce w kategorii poezji

Ewelina Kuśka

* * *

Nasyp kolejowy czasem śpiewa kamykami
istnień wyrzucanych spod kół które gnały
nie wiadomo dokąd. na końcu podróży bywa
sala z małym światełkiem telewizora
(pod warunkiem że wrzucisz 2 złote za godzinę)
tu krople życia ściekają do jeziora na kształt
śledziony albo basenu z przykrywką
a zwykłe jajo o zapachu ludzkiej stopy nabiera
niepowtarzalnego smaku.

z biegiem czasu biała sala staje się twoją
ojczyzną (jeśli dopisze ci szczęście) dom
jest tam gdzie łóżko do którego przywykniesz
zaś ludzie czujący podobnie stają się twoją
rodziną. starość też może być ciekawą podróżą
byleby świst pociągu nie zagłuszył słów jakie
chciałbyś jeszcze wypowiedzieć.

nie mów maleńka pomarszczona istotko
że życie ucieka przez palce których nie da się
rozprostować od nie wiadomo kiedy.
śpij. śpiew mopa sunącego po korytarzu
ukołysze ci włosy pożądające trwałej ondulacji.
śpij. jutro znów będzie świt tu albo tam
skąd nie wrócił nikt.

Pełnią lata
komórka pod schodami. zamykałam
w muszelce czasu całe swoje
dzieciństwo. brak zasięgu i
klapania matczynych papci. tam
w świecie roziskrzonych żyrandoli
trwał wieczny taniec muszych i
komarzych skrzydełek i nie było
szarych ani burych kolorów nawet
siniec na kostce rozwinął się niczym
wielki liliowy kwiat.

tak się zdaje dziś gdy zamykam
nadmiar czasu w pstrykaniu dwukołowego
wózka. czasem małe ciepłe kapciuszki
mijają mnie i przez moment czuję
dotkniecie jasnego loczka oraz wyraźny zapach
miodu zmieszany z odorem na wpół
przetrawionych leków. żadnych schodów
tylko jasne kafelki i siatki przeciwko owadom.

Okres przejściowy.
Dziewczynka jeszcze widzi elfy
jak Joanna d'Arc a nawet
uśmiecha się do aniołów. babcia
jest o tym przekonana ciągle znajduje
białe piórka na dywanie. jeszcze
nie wie który ze światów jest
jej domem babcia wkrótce się o tym
przekona. matka dziecka widzi tylko
odbicie lampy na drewnianej posadzce
które ją uspakaja nie rozumie jak
ktoś może modlić się do światła
wystarczy przecież nacisnąć przycisk.

Idzie na deszcz

Tęcza nadeszła niespodziewanie.
połączyła dwa brzegi jeziora tylko
stary Grzegorz potrafi zwinąć ją
jak mapę dłońmi na których zakola
żył szare plamy wysp i wzniesienia
bladych brodawek tworzą własny
krajobraz.

ani zazdrośni o błękit nieba turyści
ani ksiądz proboszcz z prawdziwym
zabytkiem nie mogą równać się z jego
bogactwem bo tylko za jego stodołom
szepty zmieniają się w skowyt wiatru
który przyzywa legendarnych barbarzyńców
nad ranem widać ich konie stworzone
z małych drobinek mgły. za krzewem
leszczyny błyskają oczy szarych larw
to oni obrońcy ogniska zza między siadali
przy nim od wieków Grzegorz wyczuwa
zapach ich potu płynący wraz ze świeżą
koniczyną od jeziora

dzisiaj odeszli po moście tęczy do wielkiego
miasta którego stary się boi. świat jego pola
zamyka płot za wzgórzami kretowin.
lato ma się ku końcowi. jeszcze w trawie
świergocze dusza wojaka spod drewnianego
krzyża na rozstaju dróg. idzie na deszcz
śnią mi się zmarli.

I miejsce w kategorii prozy
nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego

Bartosz Jastrzębski

Podróż

Mariusz Wilk powiada w którymś miejscu swej książki *Tropami rena,* iż „włóczęga jest najlepszym lekarstwem na depresję toczącą współczesnego człowieka", wywodząc dalej obrazowo, że jest w każdym z nas reniferowy „gen" tułaczki, co do ruchu od wewnątrz nakłania, a niekiedy wręcz zmusza. Przywołuje przy tym przykład Saamów przenoszących co jakiś czas swe czumy, by uniknąć gęstej atmosfery stężałych myśli i uczuć, zsiadłych w ciężki i duszący kożuch krępujący istnienie. Podejmujących przeto pracochłonną przeprowadzkę po to tylko, by nie ryzykować niebezpiecznego pogrążania się w sobie, w ciemne, bo odległe od kontrolowanego centrum, rejony swej tożsamości, co jest przecież nieuniknione gdy wciąż otoczeni są Tym Samym, przyklejonym do ścian domostwa i dookolnej scenerii – myśl niezawodnie porzuca zewnętrzność i zstępuje w głąb. I w końcu żeby oddalić znużenie co rozpuszcza twarde postronki niezbędnej do przeżycia woli w amorficzną, słabosilną ciecz, szukającą tylko zagłębienia by spocząć w samobójczej bezczynności. By zatem przewietrzyć umysł i odświeżyć serce rozbijali oni swe domostwa na nowo choćby parę metrów dalej. Przestrzeń ulegała rytualnemu oczyszczeniu i odmłodzeniu, podobnie jak dusze wiecznie wszak zagrożone arktyczną histerią oraz mrokiem wynikłym z nazbyt zażyłych i długotrwałych kontaktów z mroźną pustką Północy. I rzeczywiście, myśl to nie nowa, jest coś w włóczędze, podróży co od stęchłego smętku zasiedziałej codzienności uwalnia. Jest coś, co wyrywa z jednostajnego i otępiającego potoku działań, myśli i wtłoczonych w uregulowane koryta społecznych interakcji. Zarówno w *peregrinatio* jak i *vaggario* znajdziemy tchnienie wolności, które jest nagrodą za niełatwą sztukę porzucania utartych, a przez to bezpiecznych szlaków powtarzalnej zwyczajności. Dlatego też podróżowaniu mam zamiar się tu przyjrzeć, przyglądnąć się praktyce przemieszczania i obejrzeć, w miarę możliwości, co ma ona słodkiego w środku, że ją od zarania ludzie podejmują.

Jednak zasięg moich analiz będzie ograniczony. Ograniczony tak bardzo, że dla wielu to, o czym będzie mowa poniżej w ogóle podróżowaniem nie jest. A jeśli nawet, to najbardziej pospolitym, a może dla niektórych godnym pogardy, jego rodzajem. Po pierwsze więc, podróżuję po Polsce bo blisko, bo pod ręką, a nadto ciężko mi – póki co – przekonać się do miejsc, w których ludzie, choćby najserdeczniejsi, nie posługują się szlachetną polską mową. Tą, w której nauczyłem się myśleć i czuć, a bez niej czuję się głupi i niemy – ja zaś nie znoszę nie rozumieć, rozumieć źle lub słabo. Niewiele mam zatem w tej chwili do powiedzenia o międzykulturowych spotkaniach (lub ich niemożności) i kontemplacji widoków obcych a egzotycznych. Po drugie – i pewnie gorsze – podróżuję samochodem: bo wygodnie i szybko, bo deszcz czy śnieg na głowę nie pada, nogi nie bolą od stania lub chodzenia, bo między mną a bytem szyba, co od realności oddziela a jednak pozwala ją podglądać z bezpiecznej perspektywy automobilowej prywatności. Lubię też warkot silnika i zapach rozgrzanego asfaltu, woń paliwa nie mniej jest mi miłą, gustuję nadto w kawie z automatu na stacji benzynowej – parzącej usta lecz prostującej kręgosłup. Znajduję zadowolenie w zażywaniu tytoniu podczas jazdy i słuchaniu muzyki, a bywa że i w obecności dziewczęcia, które obok siedzi, co samowtór szczególnie wdzięcznym czyni. Przyjemną mi jest monotonia (jakże nielicznych) autostrad, pozwala ona bowiem odpłynąć w świat własnych myśli – dla każdego ważny bo dla każdego najbliższy czy nawet jedynie bliski jeśli się źle trakt życia ułoży. Rzuciłbym tedy sieć ekspresowych szlaków na nasz kraj bez rozterki i frasunku. Należę zatem do lobby samochodowego, znienawidzonego przez piechurów, rowerzystów i ekologów rzecz jasna. Dla wspomnianego autora *Wilczego notesu* w ogóle tedy nie jestem podróżnym, a jedynie niedzielnym turystą, z gatunku tych najbardziej mu wstrętnych: zmotoryzowanych, przelotnych, wymagających infrastruktury, wygodnickich, słowem – toczonych przez zachodniego robaka rozkładu. Tych, którzy zajeżdżają i zadeptują świat, psując go swoją natrętną, dokuczliwą i powierzchowną – bo połyskującą duchową pustką – obecnością. Ja jednak preferencji swych zmieniać nie będę i zniosę wzgardę prawdziwych włóczykijów. W obronę wezmę samochodowych pielgrzymów, bo dość ma człowiek Zachodu zgryzoty z samym sobą i światem, który w najlepszej wierze stworzył, by go jeszcze wyrokiem infamii obłożyć, resztki sumienia mu szargać i przyjemności drobnych odmawiać. Godny on bowiem – w moim przekonaniu – raczej współczucia niż wstrętu.

A zatem – podróż się zaczyna. Zaczyna się na długo przedtem nim zostanie wykonany jakikolwiek fizyczny ruch. Rodzi się bowiem w wyobraźni rozsnuwającej ponętną wizję pielgrzymiego spełnienia. Wędrówka zawsze ma tedy jakieś „gdzie", cel, choćby orientacyjny tylko, warunkowy i tymczasowy. Coś tam jednak w umyśle dojrzało, skrystalizował się wstępnie jakiś kierunek,

okrzepła intencja i chęć. Wzrok i wyobraźnia błądziły już wprzódy pospołu po mapie i ta druga tej pierwszej podsuwała możliwe obrazy, wzrok zaś, w rewanżu, szukał stosownej drogi, prześlizgując się po nieznanych lub słabo znanych nazwach i graficznych sygnifikacjach kartograficznego przyboru. Jednak pierwsze przyczyny ostatecznej decyzji o kierunku i punkcie docelowym leżą oczywiście głębiej. Gdzieś coś zasłyszeliśmy, przeczytali, obejrzeli, jakaś nazwa lub miejsce wryło się w pamięć i w tej pamięci pozostało (często nie wiadomo do końca z jakich przyczyn), coś „chwyciło za serce" sącząc niekiedy czas długi swą dyskretną perswazję i zachętę. Miejsce obrosło, dzięki podświadomej pracy, wyobrażeniami oczekiwanych i przewidywanych wrażeń: nastrojów, uczuć, obrazów, zapachów i przywołanych z otchłani jestestwa myśli. W końcu eksplodowało to wszystko zdecydowanym: „chcę tam pojechać, tam zaznam czegoś dobrego". Wówczas kształtować zaczyna się itinerarium, bardziej konkretny plan, choć projekt ten pozostaje na ogół do końca jedynie roboczym, a odchylenia od niego stanowią integralny składnik smaku podróży, poświadczenie swobody i lekkości wędrowca. Może nawet głównie po to jest on potrzebny, by go nieustannie modyfikować podług spontanicznych impulsów, czyli robić to, czego w codzienności robić nie możemy, a jeśli już to w niewielkim zgoła stopniu. Ale plan jest potrzebny by nie stawiać się w permanentnej sytuacji wyboru i to wyboru pozbawionego kryteriów, by wciąż nie musieć myśleć, którą drogę wybrać, lecz cieszyć się po prostu tą już wybraną.

Dalej należy wygospodarować czas. To zadanie niełatwe i w całym podróżowaniu najmniej wdzięczne. Trzeba wykroić dziurę w codzienności, co uzmysławia jak głęboko jesteśmy w niej zatopieni, jak mocno przez nią uwiązani, jak bardzo w końcu alergicznie reaguje ona gdy chcemy się z niej wyrwać. Otoczenie jest na ogół oburzone. Są przecież obowiązki do rzetelnego spełnienia czy też bardziej użyteczne czynności, które w ony czas można byłoby wykonać, nie mówiąc już o rozlicznych zaległościach, które podróż jeszcze powiększy i bardziej nieznośnymi uczyni. Finanse można by przeznaczyć na co innego, bardziej perspektywicznego niż kolekcjonowanie ulotnych wrażeń, pogoda i czas są niewłaściwe, okres ogólnie zły. Kiedyś owszem, jak najbardziej, podróż jest wskazana, ale nie teraz, na Boga!, nie tam, nie w ten sposób. Podróżnik musi się z tym wszystkim uporać, przekonać, odmówić, przemóc i wymóc, czasem narazić się, by rzecz do skutku mogła dojść. Musi jeszcze poprzekładać, dograć i skoordynować, odrobić lub przełożyć by odrobić później, zaniechać tego i owego, przyoszczędzić nade wszystko i jeśli się to uda pole zostanie oczyszczone a podróż będzie mogła przejść z fazy idei do fazy konkretnego i realnego projektu. Będzie można zacząć się do niej przygotowywać, a emocje zaczną wzrastać.

Do podróży bowiem, o której już wiadomo, że dojdzie do skutku miast pozostać widmem marzenia, należy się przysposobić. To, w jaki sposób, zawisa

od tego, gdzie i jak daleko chcemy jechać. Konieczne instrumentarium może być minimalne zgoła i nie wymagające szczególnego zachodu albo, w przypadku szerzej zakrojonych wojaży, nader obszerne. Tak czy inaczej jednak na ogół coś trzeba kupić, coś zgromadzić, sprokurować zbiór niezbędników i utensyliów. Chodzi o mapy, przewodniki, elementy ubioru i toalety, latarki, scyzoryki i korkociągi, termosy, aparaty, śpiwory, względnie namioty i tym podobne przybory użyteczności. Zawsze tam czegoś brakuje i trzeba to uzupełnić by brak jakiś dokuczliwy a podstępny nie zaatakował znienacka w drodze – na ogół się jednak nie uzupełnia i brak dopada, czegoś na pewno się zapomni i nie dopilnuje. Należy to chyba jednak do istoty podróży, przysługuje bowiem cechującej ją nieprzewidywalności, tej samej, która odróżnia tułaczkę od dnia codziennego. Koniecznym jest także przyjrzeć się bacznie kondycji stalowego rumaka, co w dal ma nas ponieść. Wóz ma być sprawny i godny zaufania, to bowiem towarzysz o strategicznym znaczeniu i jego rebelia bądź kolaps mogą do ruiny przywieźć najznakomitszy nawet plan i siwizny na skroniach przysporzyć najtwardszemu nawet kierowcy. Podczas wielogodzinnych podróży staje się on przedłużeniem ciała i nieomal jego częścią, stąd też jego dobry stan jest niezbędny by poczuć upragnioną z nim jednotę i komunikacyjną transparencję. Wóz – jak się powiada – trzeba czuć, intuicyjnie go przenikać po najmniejszy przewód.

Gdy już wszystko gotowe pozostaje jedynie czekać. Czas się wszak dłuży na swój gorzko-słodki sposób. Chciałoby się ruszyć – a nie można. Pobudzenie jest jak najdosłowniej somatyczne i motoryczne. Im bliżej wyjazdu, tym bardziej wycofujemy swą uwagę od wykonywanych czynności: myśl buja w przodzie nie baczna na ciągnącą się smętnie w tyle teraźniejszość. Jużeśmy bardziej tam niż tu i wyobrażenia podszyte lekkim niepokojem przesłaniają widzenie tego, co pod ręką. Mało bowiem, w świetle podróży, wydaje się to treściwe, mało znaczące. Stajemy się tedy duchem nieobecni i wyciągnięci z siebie w nieograniczony przestwór imaginowanego. Niepokój zaś idzie z niecierpliwości przede wszystkim – ale nie tylko. W tym bowiem momencie po raz pierwszy obawa się zakrada czy wszystko się uda i – co najważniejsze – wyprawa spełni pokładane w niej nadzieje. Czy aby na pewno będzie tak dobrze jak ma być, czy przypadkiem nie spotka nas zawód bolesny, który powleczemy później racjonalizacjami i kłamliwym: „nie było tak źle". Ten rodzaj niepokoju pojawia się zawsze gdy mamy skonfrontować Wyobrażone z Realnym, w boju tym bowiem – tego uczy gorzkie doświadczenie tego świata – to pierwsze nieraz poległo drugim bezlitośnie ścięte. A jeśli tam nie jest dobrze – to katastrofa, znaczy to wszak iżeśmy iluzją żyli i nią się radowali, jej pustkę smakowali, że oszukał i zwiódł nas i świat i własny umysł: wszystko łgało. Obawy te sączą się jednak podprogowo raczej, tyle tylko by poczuć lekki ucisk niepokoju. Nadzieja zwycięża, bo przecież peregrynacja uskrzydla już samą swoją obietnicą.

I nadchodzi oto ten dzień. Po nocy okrytej płytkim jedynie snem, przychodzi wyjazdowy, lekko spięty, pośpieszny (bo przecież „trzeba wcześnie wyruszyć") i gotowy do startu poranek. Pozostaje jeno ubrać się, znieść klamoty i w drogę. No i kawa oczywiście, z tytoniem, dynamizująca, wciskająca się w każdą komórkę aż do granic rozedrgania. Ale to nic, bo każde rozedrganie wypali się w drodze – jak paliwo w aucie, jak pisanie na papierze – i nieraz jeszcze sięgnąć trzeba będzie po energetyczne rozkosze czarnego płynu. Droga bowiem na szczęście daleka, daleko od codzienności odwodząca. Można też z niej nie wrócić, rozbiwszy się o gębę jakiegoś spaśnego mercedesa. I to nic jednak: ostatecznie wszelka podróż ma być w swej podszewce spotkaniem z przeznaczeniem – jest rzuconym mu wyzwaniem. Po to się ją przez wieki podejmowało, po to podejmuje i dziś.

W końcu rozpoczyna się fizyczny, wymierny i policzalny Ruch. Jeszcze tylko miasto, wysłużone obrazy tych samych ulic, korki na pamięć znane i pojawi się Trasa, czyli samochodowy wymiar metafizycznej Drogi – jak na starych amerykańskich filmach, na których Dodge i Buicki przemierzają nieogarnialne przestrzenie arizońskich i nowomeksykańskich traktów. Muzyka już gra, papieros w ustach, dłonie na kierownicy. O to właśnie chodziło! Określone melodie z określonych radiowych stacji, mierne, kiczowate kawałki nostalgicznie przywołujące utraconą przeszłość i dawne, złożone już w urnach chwile, osoby, nadzieje. Melodie, których nigdy nie słuchalibyśmy w domu, na kanapie. Piosenki tkwiące w uchu jakby od zawsze, nie wiadomo skąd wzięte, nabrzmiałe czasem rozpychającym zawsze za ciasną teraźniejszość. Zresztą podróżowanie w przestrzeni jest zawsze podróżowaniem w czasie – nie tylko w banalnym znaczeniu jednorodnej czasoprzestrzeni. Po prostu ruch przywołuje różne czasy, relatywizując ten tu obecny. W drodze łatwiej chyba pogodzić się z przemijaniem, bo ona sama nim właśnie jest, porzucając nieustannie to, co wokół i to, co jeszcze przed chwilą. W tym samym momencie więc przywołujemy i równocześnie porzucamy bagaż wspomnień. Brak stałego kontaktu z podłożem, z miejscem, błogosławiona ruchliwość i momentalność widoków, obrazy znanego umykające w tył nawet z lusterek, obracają wspomnienia w pustkę i prędkość. Wspomnienia są tu jak piaskowe rysunki buddyjskich mnichów – misternie konstruowane tylko po to, by pożegnać je i zetrzeć jednym ruchem dłoni i umysłu. By nauczyć się arcytrudnej sztuki znoszenia (w podwójnym tego słowa znaczeniu) przemijania, żegnania się z tym, co jest, a za moment już nie będzie. Smakiem tej sztuki nitki i kropelki tęsknoty, niebolesnej, słodkiej i mądrej.

Równocześnie, wraz z rosnącą z każdą chwilą odległością od Domu, pojawia się i wzmaga zapomnienie codzienności. Ona także już ledwo majaczy w lusterkach, coraz bardziej niewyraźna, nierealna, nieaktywna i niegroźna. W końcu zdetronizowana niczym zbyt długo zasiadający na tronie tyran-samowładca.

Sama staje się wspomnieniem i tylko jako taka towarzyszyć będzie podróżnemu – pośród wielu innych obrazów. Teraz jednak można lepiej jej się przyjrzeć. Tak to już bowiem jest, że fizyczny dystans umożliwia i wspiera także ten psychiczny, duchowy. Świadomość odległości uwalnia na moment od uwikłania, choć przecież istnieje ono tylko w umyśle, który i tak zabieramy ze sobą. A jednak jest inaczej i lżej. Przestrzeń rodzi niedyspozycyjność, ta zaś uczucie wolności – o ile tylko nie zapomnimy wyłączyć telefonów komórkowych, tej obrzydliwej smyczy współczesnych uwarunkowań, a przez to symbolu zniewolenia. Co więcej, podróż, u swego zarania, uwodzi jakąś nieuchwytną i cichą obietnicą swej własnej nieskończoności – wydarza się tak, jakby się miała nie zakończyć, jak gdyby miała być wieczną drogą, bezkresną tułaczką, która w końcu, stopniowo, uwolni od wszystkiego – aż podróżny stanie się lekki jak topoli śnieg i podobnie jak on prześwietlony Słońcem, niesiony Wiatrem. Niewykluczone, że ten nastrój to w istocie jakiś praślad instynktu nomadycznego, każącego dawnym ludziom krążyć bez ustanku i podejmować wyprawy na mityczny kraj świata. Jest w tym także nienasycone pragnienie otwartej przestrzeni: odczucie podobne temu, które pojawia się przy spoglądaniu z krawędzi w groźną otchłań – jakiś irracjonalny odruch skłania do tego, by się jej oddać, by się w niej rozpłynąć, nawet za cenę zatraty.

Tymczasem, po tych patetycznych i wzniosłych rozmyślaniach, cechujących nieraz drogi początek, jazda stabilizuje się w monotonny, kołyszący rytm. Wszystko się uspokaja. Uchylone okno, podmuchy wiatru, palące Słońce, dźwięk silnika, wzrok cyklicznie, choć niezbyt często, powracający ku prędkościomierzowi, wskaźnikowi paliwa i strzałkom drogowskazów, ręka miarowo sięgająca po napój lub papierosa (i coraz więcej butelek, coraz więcej przesypujących się niedopałków) tworzą twardy rdzeń drogi, jej małą, ruchomą rzeczywistość kapsuły mknącej przez dziwny i niepoznany w swej naturze świat. No i oczywiście widoki, przesuwne landszafty, dyskretnie, nienatarczywie ukazujące swe wdzięki – lub właśnie ich wstydliwy niedobór. Cóż mówią nam polskie pejzaże i co można powiedzieć o nich? Pustawo tu raczej i monotonnie. Wielka równina z rzadka tylko i nieznacznie pofałdowana, pola bezkresne koniecznie z lasem na horyzoncie, cętkowane pojedynczymi drzewami, pocięte zakrzaczonymi miedzami i nitkami obsadzonych topolami dróg. Niekiedy lasów więcej, lub całkiem dużo, sosnowych, pachnących, suchych. Czuby drzew zagięte lekko – jakby w jakimś wiecznotrwałym ukłonie – podług dominującego kierunku wiatrów, a więc na Wschód. Gleby nietęgie, piaskowe, gdzieniegdzie jeszcze – głównie w Kongresówce – wyłażone przez łaciate krowy na łańcuchach, nieustannie poszukujące cienia i wilgotnych rowów z soczystą trawą. Trochę górek, trochę jezior, wszystkiego w ogóle po trochu, ale niczego w zachwycającym nadmiarze lub choćby sycącej obfitości. Rzeki nieliczne, niewielkie, podobnie jak miasta.

Te ostatnie nieefektowne, raczej skromne architektonicznie, wyraźnie niebogate, skarlałe od przeżytych i nadal przeżywanych bied wciąż jeszcze czekają na swój rozkwit, który zresztą najpewniej już nie nastąpi. Ich nazwy wprawdzie znane – lecz nie wiadomo skąd. Czy to Kępno, czy Inowrocław czy Lubartów z czymś się kojarzą, coś tam pewnie jest. Lecz co – tego już za bardzo nie wiadomo. Ta średnia i półśrednia liga polskich miast nadaje klimat temu krajowi. Większe miasta to tylko enklawy w owym miasteczkowo-polnym interiorze, a przez to zupełnie inna opowieść. I jeszcze wsie oczywiście, wsie małe i duże, pozbawione szczególnego uroku, lecz swojskie w powlekającej je grubą warstwą nijakości. Nietynkowana, czerwona cegła, szary pustak, na dachu blacha lub azbest, bywa też stara dachówka, tu i ówdzie nowe domy, takie niby-dworki na mikroskopijnych działkach, na których ledwo mieści się samochód i kilka rachitycznych tujek. Wszędzie widoczny jest architektoniczny chaos – dobitny lecz nie piękny wyraz budowlanej samowoli, determinacji i zarazem zaradności zubożałych rodaków. Ogólnie trudno popaść w zachwyt. Nie ma bowiem nad czym. Prowincja aż zęby bolą. Jedynie co dobre to że miejsca dużo. Nie uświadczysz tu wrażenia ciasnoty, przeludnienia i klaustrofobicznego ścisku. Można się skryć, można żyć, gdyby się wiedziało jak i po co. A jednak jest pewien dodatkowy urok w tych pejzażach. Ów brak efektowności i widowiskowości uspokaja, łagodzi myśli i leczy skołatane nerwy. Żadnych wielkich podniet, estetycznych ekstaz i paroksyzmów, męczących entuzjazmów i elektryzujących nadmiernie bodźców. Tak to sobie po prostu wszystko jest, nie olśniewając, przesuwając się tylko za szybą jak wciąż ta sama, ruchoma, teatralna dekoracja. Dzięki temu, jadąc, można się zapaść w siebie jak studnię, która, mimo swej ciemnej głębi, odbija – jak się zdaje – tylko przelotną zewnętrzność. Żadna myśl nie zostaje odepchnięta i wyparta, a to dlatego że żadna też nie utrzyma się dłużej, porwana przez umykający dookolny świat. Nie ma się więc czego obawiać, lękać, że któraś z nich oblepi umysł niczym lepka, trująca sieć. Myśli płyną niezakłócone jak to, co na zewnątrz nich, uwolnione od przymusu koncentrowania się na czymkolwiek. Wszelkie umysłowe miazmaty i tak zostaną wywiane przez samochodowy przeciąg. A mimo to pojawia się przekonanie, wręcz pewność, iż w głębi niepoznanych, umysłowych dziedzin trwa ważna Praca. Rozproszywszy myśli w pędzie pozwalamy dziać się temu, co wydarzyć się i tak musi, choć jak zwykle uczyni to z dala od oświetlonych jasno progów świadomości. Doprowadzi jednak niezawodnie do małych i wielkich przesileń, wyznaczających szlak życia.

Aż tu wnet trzeba się zatrzymać na tankowanie. Jest ono swoistym anakolutem wędrownej, wewnętrznej narracji. Potrzebne jest jednak paliwo, kawa i (najlepiej dobry) posiłek. A zatem – stacja benzynowa. Cichy port i gościnna przystań dla strudzonych samochodziarzy. Strawa, napitek i chwila wytchnie-

nia, okraszonego kulinarną przyjemnością, dla pospolitego wędrowca pospolitych dróg. Przerwa na wynurzenie się z siebie i ogląd gdzie się właściwie jest. Charakterystyczny efekt „wyjścia na zewnątrz". W uszach jeszcze trochę szumi, ręce i piersi spocone. Na dworze zawsze nieco chłodniej. Wokół zapach paliwa, kawy i perfumowanego wnętrza sklepu. Czasem również woń dochodząca z restauracji. I oczywiście Twarze, a wraz z nimi głosy, słowa, strzępki rozmów. Absolutne panoptikum ludzkich obliczy, nie związanych niczym prócz samej drogi, mocą i magią której przyszło się o siebie otrzeć – bez introdukcji i bez kontynuacji. Bez konsekwencji i bez dlaczego. Jest tu więc młody i dynamiczny, choć wyraźnie oszołomiony potężnymi odległościami jakie przemierza, przedstawiciel handlowy. Przyblokował kolejkę w kasie, bo bierze oczywiście fakturę. Elegancka, samotna pani w bardzo dobrym aucie. Auto jest czarne i ona na czarno ubrana i coś ciemnego ma w oczach. Rodzinka z dziećmi, które wypuszczone z pojazdu biegają wszędzie jak oszalałe i pokrzykują radośnie. Ogorzały i krzepki tirowiec z wystającym lekko zza paska brzuchu, mocnych rękach i niewzbudzającym bezwarunkowego zaufania wyrazie twarzy. Dwóch młodych chłopców w białych podkoszulkach, opinających nazbyt często ćwiczone, młodzieńcze, niedojrzałe muskuły. Jegomość w wieku średnim, siwiejący na skroniach, ze śliczną kobietą o długich nogach, szczupłej talii i obfitych piersiach anonsujących się dyskretnie z nieprzesadnego dekoltu – kobietą zrobioną doskonale i pod każdym względem. Kobietą zdecydowanie „wyjściową". Wsiadają do luksusowej terenówki, która – daje głowę – terenu nigdy nie zaznała. Rosły, przyciężki Holender, przyglądający się wszystkiemu lekko zdezorientowanym wzrokiem obcokrajowca..."Fakturka, paragonik, zbiera Pan punkty, Red Bull w promocji?" – mantruje miły sprzedawca w szarej koszuli i pasiastym krawacie. Młoda, trochę otyła kasjerka spogląda na niego co chwilę... Oto spotkania migawkowe i nie zaplanowane jak dotknięcie ciał w kolejce lub wąskim przejściu.

Tymczasem jednak czarna kawa, papieros wypalony na stojąco, małe zakupy, tęskny wzrok, prześlizgujący się po alkoholu, którego nie można się napić. Kawa szybko przywraca zagubiony gdzieś po drodze wigor. Parę oddechów powietrzem spoza kapsuły, wyprostowanie przygiętego kręgosłupa, ubikacja i w drogę. Następny etap, w którym – jeśli podróżujemy w towarzystwie – może pojawić się rozmowa lub właśnie zaniknąć, jeśli cechowała etap pierwszy. Rozmowy samochodowe są też specyficzne. Rozkwitają kiedy chcą, równie nagle gasną. Ich tematy są trudne do przewidzenia, nieoczekiwane. Przepływające obrazy wytaszczą coś czasem z wewnętrznej dali i można i chce się o tym pomówić. Rozmowy nie są jednak głębokie i uważne, bo ciągle rozprasza je, a też rozcieńcza ruch i nieustanna zmiana. Pojawia się również zmęczenie – widzenie drogi niewidzącymi oczami. Należy przyśpieszyć i podgłośnić muzykę. Wykluwa z wolna się myśl, że w końcu trzeba gdzieś dotrzeć, rodzi się chęć

by już się to stało. Wszelkie możliwe środki odpierające zmęczenie działają na tym etapie krótkotrwale i niezbyt skutecznie. Bycie przekształca się w podróżny trans, podczas którego myśli i wrażenia stają się już tylko suchym, przesypującym się miarowo piaskiem. Lecz wciąż jeszcze przydarzyć się może to, co wędrówkę czyni wdzięczną i smakowitą: drobna, punktowa radość. Momentalna lecz intensywna i ciepła, niczym promień Słońca przebijający się nagle przez gęste chmury – jak na pewnym kiczowatym zdjęciu ze szkockich gór, w które lubię się wpatrywać. Radość niezwykła i niespodziewana – że jest tak jak jest. Na kilka sekund zjawia się inny nastrój, jakby z innej mózgowej półkuli lub fali. Miękka, zamszowa akceptacja i idealne osadzenie w istnieniu. Wyczerpany umysł, a zwłaszcza pamięć, pozwalają być w końcu tu i teraz, płynąć w Istnieniu nie stawiając mu oporu. Zapewne to efekt zmęczenia, zbyt długo napiętej uwagi, swoistej quasi-buddyjskiej koncentracji w rozproszeniu. Nawet jeśli tak jest – warto się zmęczyć. To dobre chwile, długo pamiętane, pozwalające wierzyć, że z nieskończonych i gęstych układów egzystencji jest mała furtka prowadząca na Zewnątrz, w Inne.

Oto wszakże zbliżamy się do kresu podróży. Na szczęście, bo było to już konieczne. Zmęczenie przekroczyło bowiem fazę metafizycznych iluminacji. Stało się biologiczne i somatyczne – zatem nieodparte jak starzenie, którego jest forpocztą. Prawem finiszu pojawić się może przelotna ekscytacja obficie jednak inkrustowana niecierpliwością i pragnieniem końca. Cel jest tuż i cel już osiągnięty. Po to został obrany by do niego zmierzać i tak się właśnie stało. Pierwsze rozkruszone i słabe wrażenia. A więc tak tu jest. Wyobrażenie – jak zwykle – było trochę inne. Ale dobrze. Chyba dobrze. Trudno jeszcze powiedzieć. Na pewno dobrze iż droga się skończyła. Myśli na razie zbyt wątłe by pomyśleć coś więcej. Dlatego po wszystkim nie od rzeczy jest napić się trochę. Zobaczyć tę drogę raz jeszcze i miejsce do którego się przybyło wzrokiem odświeżonym i wzmocnionym implantem alkoholowego entuzjazmu i tej szczególnej, osiąganej w nim przez chwilę bystrości. Odetchnąć, posmakować, zobaczyć co się zdziałało i dokąd zawiodła droga. Ciężar zmęczenia przemienić w jego błogość, w jego rozkoszny bezwład. Co ponad to – nazajutrz. Wszystko inne nazajutrz.

Po twardym i ciężkim śnie przychodzi dzień następny. Nadszedł czas na oglądanie, zwiedzanie, poznawanie. Oglądamy więc to, oglądamy i tamto. Chodzimy i patrzymy, słuchamy, wąchamy. „A więc tak tu jest" powiadamy znów, lecz po baczniejszym widzeniu i tęższym namyśle tym razem. Konfrontujemy wyobrażenie z tym, co obecne w zmysłach. Kolekcjonujemy, karmimy i napełniamy się obrazami, pragniemy by pozostały w umyśle, współtworząc materię jego życia. Niekiedy kiełkuje nadzieja, iż będą one powracać w marzeniach i snach, w widzeniach, które będą nas uspokajać w wirze codziennego życia jako ciche, intymne przestrzenie relaksu, odpocznienia i dyskretnych wizji.

Przeżywając miejsce nie przestajemy go sobie jednak wyobrażać. Raczej staramy się nałożyć nań własne imaginarium niczym werniks czy politurę na surowiec drewna. Marzymy więc z otwartymi oczami.. Chcemy by przemieniła nas inność otoczenia. Dzięki swej wiedzy i wyostrzonej receptywności Obcego przydajemy miejscu głębi i dziejowej przestrzenności – tak nam się przynajmniej wydaje. Wszak miejsce jest takie, jakie jawi się naszym oczom. W nich jest bardziej niż w sobie samym. Rozpoznajemy też dzięki temu, jak w innym lepszym lustrze, siebie samych, własne wewnętrzne pokłady i zaplecza, odbity w zewnętrzności własny wzrok. Temu przecież podróż ma służyć – by poznać i zrozumieć siebie. Temu chyba, ostatecznie, ma służyć wszystko, bo cóż jest prócz tego do zrobienia podczas dwuznacznej przygody życia?. O to tylko chodzi. Na cóż mi się bowiem zda, że zobaczę, na przykład, kłoć wiechowatą lub że przeczytam na edukacyjnej tabliczce, iż w okolicznych zaroślach żyje derkacz, który się najpewniej nawet nie pokaże? Lub co mój duch zyska zobaczywszy jakiś magnacki pałac, zbudowany męką okolicznych, żyjących w nędzy chłopów, podczas gdy Pańskie konie chłeptały wodę z porcelanowych żłobów, opierając swe lśniące, tłuste zady na francuskich kafelkach upiększających wnętrza boksu? A Panowie wtenczas frymarczyli Rzeczpospolitą, a w chwilach oddechu przywozili na swe leże ciosy słoni i skóry lwów, by je rozwieszać w wozowniach, na przeciw których, z chłopskiej chałupy – porażony jakby tym absurdem – spogląda Frasobliwy Jezus? Choć oczywiście wszystko to jest ciekawe. Właśnie: ciekawe. A o ciekawości dobrze mówi Heidegger: „ciekawość charakteryzuje specyficzne *niezabawianie* przy tym, co najbliższe. Dlatego też nie poszukuje ona swobody refleksyjnego przebywania, lecz niepokoju i pobudzania przez coraz to inną nowość oraz przez zmienność spotkań. W swym niezabawianiu ciekawość troska się o ciągłą możliwość *rozrywki*”[1]. Rozrywka zaś nie służy poznaniu lecz – jak sama nazwa wskazuje – rozrywaniu ciasnego i dusznego kokonu codzienności. Poznanie rozgrywa się bowiem gdzie indziej: jeśli już to w cichej, mozolnej, cierpliwej pracy. W domu. Tak jak w nim (lub tym, co kiedyś nim było) rodzą się i są przeżywane najważniejsze, najtrwalsze emocje. Co najwyżej więc uobecnimy w sobie poznawcze i kulturowe klisze – nie najlepszej zresztą na ogół jakości. W sensie obiektywnym, w czas wyjazdu, niewiele poznamy lub zgoła nic. Po Kantowsku przecież: widzimy w rzeczach to, co samiśmy w nie włożyli już „wcześniej”. Po Platońsku zaś zwie się to anamneza – przywoływanie uprzedniej wiedzy. W podróży więcej bodaj dowiadujemy się o naszej powszedniości i myślowej pracy w niej wykonanej, o codzienności naszego ja na chwilę opuszczonej, niźli o miejscu, które miało nas z niej wyrwać. Czysta empiria, a do tego jeszcze okazjonalna, nie jest dobra w jakimkolwiek wzbogacaniu...Wszak ogromna większość obrazów przemija i znika, wydaje się, bez śladu, pozostawiając po so-

[1] M. Heidegger, *Bycie i czas*, przeł. B. Baran, PWN, Warszawa 2005, s. 221.

bie tylko snujący się cicho po kątach cierpki posmak przemijania. Zapominamy prawie wszystko. A mimo to wciąż przepatrujemy otoczenie, usiłując wydestylować z niego coś istotnego, wciąż czegoś oczekujemy i szukamy niczym człowiek przed lustrem próbujący uchwycić własne odbicie, mówiące o nim wszystko i mówiące o nim dobrze, bo prawdziwie... Smutek powrotu uzmysławia gorzką prawdę: bardziej chcieliśmy stracić kontakt z codziennym otoczeniem niż zyskać go z nowym. W większym stopniu pragnęliśmy porzucić „starego" siebie wraz ze wszystkim co do niego przylgnęło i odnaleźć swą jaźń odgruzowaną, lekką, odświeżoną mocą dystansu niż obiektywnie coś poznać. Melancholia powrotu jest zatem nieunikniona i rodzi się z obawy oraz skrytej niechęci do własnego codziennego bycia, a nie mniej z lęku przed powrotem w jego schematy, układy i uwarunkowania. Ma wyraźny smak niezaspokojenia i porażki: nie udało się zerwać pęt, rozpłynąć w wiecznym, odświeżającym ruchu. Zawróciliśmy z drogi, pokonani, choć droga zapraszała wciąż dalej... A wracać przecież i tak nie ma dokąd, bo nie ma Domu ani na tej Ziemi ani gdziekolwiek indziej...

Są jednak także doznania estetyczne, których w drodze zażywamy i które na jej korzyść mają świadczyć. Ich ciepłe ślady winny wszak w nas pozostać, udoskonalając sztukę wrażliwego i przenikliwego widzenia. Nawet jeśli niewiele się poznaje i niewiele pamięta, jest jeszcze rozkosz samego działania tego najważniejszego ze zmysłów. Przeżycia piękna i wzniosłości z niego płynące, o których tak wiele mówił Kant. Tak zmienne w czasie, co do swego przedmiotu, acz zawsze mocne i sugestywne. Dziś zachwycają bagna, zdziczałe rzeki, leśne i wysokogórskie ostępy, czyli to, co przez wieki napawało ludzi raczej niepokojem i lękiem. Natomiast, jak za czasów Mistrza z Królewca, we wzniosły nastrój nadal wprowadzają błękitny, oddychający miarowo ogrom morza czy strzeliste wieże katedr jako majestatyczne symbole doskonałości kunsztu ludzkich rąk. Subtelnie radują łagodne pagóry i łany zbóż, o których tak wiele czytaliśmy u poetów. Dotyk wiatru, zapach, zwłaszcza zapach oblanych ciepłym światłem zieleni i wody – jezior zarastających trzciną, tatarakiem i wodorostami lub rzek leniwie meandrujących wśród podmokłych, soczystych i wybujałych łąk, duszny, wonny żar – odgłosy ptaków, owadów, listowia i deszczu – wszystko to wycisza i spowalnia niepokojący bieg myśli. Są to przyjemne chwile – wszak rozkosz estetyczna łagodzi nastrój i na chwilę przynajmniej uwalnia od cierpienia świata, o czym przekonywał wielokroć Schopenhauer. Na moment ulegamy błogostanowi, który jednak zniknie, wraz z odwróceniem spojrzenia. Powidok będzie smużył w umyśle rozkosznym nastrojem pewien czas jeszcze nim ostatecznie rozproszy się jak cudna lecz delikatna i nietrwała woń. Nastrój złożony zostanie w archiwach umysłu, do których dostęp z biegiem czasu będzie coraz trudniejszy... Niewierny wzrok zaś zacznie szukać nowych podniet – bez końca i bez ostatecznej satysfakcji, zawsze zachłanny i głodny.

Czy zatem podróżowanie leczy człowieka z depresji i metafizycznego *spleenu?* Doprawdy nie wiem. Możliwe. Choć różnych ludzi leczą różne rzeczy. Niektórych właśnie zadomowienie, zakorzenienie i stabilność – drobiazgowy, pieczołowicie ułożony plan codzienności, jego dobrze znana i przejrzysta struktura. Niechętny jestem przeto wszelkim generalizacjom. Sądzę jednak, że w istocie coś w tym podróżnictwie jest. Może z natury swej to środek doraźny, leczący egzystencjalną biedę tymczasowo tylko i niezbyt skutecznie. Być może jednak jest to skryty, archetypowy przymus poszukiwania Utraconego Raju, dalekiej, nieznanej Ojczyzny, umykającej nam wciąż jak horyzont? Odwieczne pragnienie by wyruszyć po coś cennego, najcenniejszego, choć nieokreślonego i prawie całkiem zapomnianego, czego nie ma tu oto, w wytartym „jak zwykle" zrutynizowanych czynności, które pokryły grubym osadem to, czym naprawdę jesteśmy. Być może chodzi o znalezienie tego, co istniejąc w pełni opiera się przemijaniu, a dla czego nie ma już nazwy i stosownych słów. Faktem jest jednak, iż niekiedy pojawia się dojmująca chęć by osad życia z siebie strącić. By strącić z siebie wszystko. Nie bez przyczyny to o śmierci powiada się, że jest ostatnią podróżą. Ostatnią i ostateczną, bo jest właśnie porzuceniem wszystkiego. Jest podróżą doskonałą, bo zdejmuje wszelki ciężar, nie ma z niej powrotu, jest nieunikniona i samotna. Na tę wędrówkę mamy jednak jeszcze czas. Wezwanie jeszcze nie nadeszło. Ale można się przygotować. Nieskończona przestrzeń cierpliwie czeka. Wędrowiec musi tylko zrobić pierwszy krok.

II miejsce w kategorii prozy
nagroda Przewodniczącej
Rady Powiatu Lęborskiego

Marta Wielgoszewska

Łęczyn

Tablicę i dwa inne znaki, na polecenie Burmistrza, wpięto – jak szpilki – w zieloną panoramę wsi. Wędrowały zresztą raz w prawo, raz w lewo, aż ulokowały się przed samym krzyżem, który jakby dodając otuchy kilkuletniej sośnie, posadzonej tu w miejscu staro-dawnej gruszy – teraz za tablicą.

Krzyż to zasługa mieszkańców. Dbają, umajają wstążkami, kwiatami, iskierkami świec.

Świętują, celebrują nabożeństwo majowe, tworząc pod barwnym krzyżem, barwne zbiorowisko.

Śpiew niesie się drogą, płynie z wiatrem, nad łąką, do lasu.

Kolory na wietrze, furkoczą.

Zacierają brzmienie nazwy, odwracają uwagę od tej wypisanej, bo wszyscy, jak gmina szeroka i długa, nie mówią „Łęczyn", a „Łęczno", o tej naszej ni to osadzie, ni to wsi.

Pierwsze, pisemne wzmianki o Łęczynie datowane są na 1752/53 rok.

„Die Kolonie Lenzenbruch"

Lenzenbruch – stara, niemiecka nazwa chrzęści jak żwir leśnej drogi, która wije się miękko wśród traw.

Tędy podążam, wyplątując się z kuszących odcieni zieleni, otrząsając z pacynek słońca i cienia, nie zatrzymując się bez potrzeby, nigdzie nie błądząc, prowadząc do celu.

Wybrałam Adama i Ewę. I tych „przyjezdnych" – zawsze Nowych, z domu przy ścieżce, bo mi jakoś bliscy. I tak jak ja, sprawiają wrażenie, że zawsze, w tym samym miejscu, a w drodze. Próbowali coś zmienić, dodać, dołożyć, ale po kilku latach tutaj, zwolnili i zauważają teraz każdy, przejeżdżający drogą samochód, zmierzających do sklepu sąsiadów i liście spadające z jesiennych drzew.

Są szczęśliwi, czy spokornieli?

Nigdy nie staną się tutejsi, do końca. Dwadzieścia dwa numery, dwadzieścia dwa domy, a w nich i przyjezdni i z dawna osiadli, a wszyscy różni.

Wszyscy oddzielni. Niby niedalecy, a niebliscy.

Siano pachnie inaczej każdego roku. Tego lata ma ten świeży, skoszony wraz z trawami zapach wiatru zmieszanego z deszczem. Z kropelką słońca, która pojawia się – lekko wyczuwalna, w nucie głowy, – kiedy siano schnie.

I trafia ten zapach z głowy, prosto do serca. I tam zostaje. Tak jak ja i jak oni.

Jak wszyscy, którzy musimy osiąść gdzieś na końcu.

To dobre miejsce.

Orzeł

Jeśliby zmienić się w orła – unieść wysoko pod – w chmury i spojrzeć w dół, dostrzegłoby się rozrzucone wśród lasów czerwone koraliki domów, mandale jezior i łańcuszek rzeki zagubiony pomiędzy drzewami.

Aż chciałoby się usłyszeć bajkę o roztargnionej Wiedźmie, która zahaczyła naszyjnikiem o drzewa, przerwała łańcuszek, pogubiła cekiny, rozsypała korale, osiadła pod lasem i szuka błyskotek.

Jest tu i czarownica i sroki.

I opowieść, przekazywana „od podwyrka, do podwyrka", z ust do ust, z ucha do ucha. Historia niemłoda, niestara, nie, albo prawdziwa.

Każde miejsce ma swoje serce, każda wioska swoją Babkę – Ewę, każdy pełen ładu świat – Czarownicę.

Babka - Ewa

Pod świerkami jest jak zwykle cicho. Potoczek płynący nie wiadomo skąd, do nie wiedzieć gdzie, błyszczy w tym miejscu jak wyrzucona na suchy ląd ryba. Chichocze bezgłośnie, k(ł)apiąc ząbkami kropel, na kamykach.

Domek z białymi ścianami przycupnął w cieniu, tyłem do wydeptanej między młodnikiem, a tartakiem drogi, przodem do lasu. Musiał być wtedy sporo mniejszy ten zagajnik sosnowy... Musiał być wtedy dzieckiem, więc może nie chce pamiętać, może zapomniał co widział, może zaczarowany. W młodniku zawsze tak cicho, cichutko, jakby ktoś posiał mak, albo rozrzucił zaklęcie. Ścielą się na ziemi suchutkie, sosnowe igiełki, jakby ktoś przyszył ciszę dookoła...

A kto, jak nie, Ta która przegnała męża, wzięła kochanka, ma psa starego jak czas, marynuje w słoikach robaki i kochała do tegorocznej wiosny, a dziecka ni ma. I jajka rozdaje – zbuki pewnikiem, bo nic za nie chce. Źle teraz wygląda – kartka papieru, z której ogień zlizał treść, a jeszcze nie schrupał na popiół. I niby nigdzie nie chodzi, a wszystko wie...

Babka - Ewa powoli podnosi się z łóżka – jednym gestem, żeby nie tracić energii na wiele, więc jednym gestem, zamiast odgarnięcia i ułożenia – ogarnia siwe włosy z twarzy. Układają się dookoła w suchy, sterczący wianuszek – gniazdko z ptasim obliczem.

Babka wstaje.

Nie ubiera się i nie myje. Nie ścieli łóżka, tylko narzuca fartuch na – dawniej białą – koszulę do kolan i otwiera drzwi popielnika.

– Nie wygasło! – z szelestem zaciera ręce i powoli, bo dużo siły zużyła na radość, podsuwa ledwo szepcącemu językowi płomieni, cienkie polana. Oboje nabierają siły. Babka stawia na kuchennej płycie wodę w czajniku. Czeka cierpliwie, jeszcze dosypia wsparta o ciepłe kafle. Pył wiruje w powietrzu. Promień słońca jak leniwy kot rozgania drobinki kurzu, świetlistą łapą. Jest tutaj sama – ona i kurz, i – jak ten promień światła, oraz płatki kurzu Babcine wspominanie.

O tym jak było ciężko w obozie.

O tym jak „zerwało się" przedłużenie swojego życia, roniąc dziecko na – w polu, kiedy ledwie okrągły, ledwie nabrzmiały życiem brzuch, upadł w czarną bruzdę i tam pod czerwoną kołderką pozostał. O tym, jak kołysała się raz w przód – ku jawie, raz w tył, do snu, żeby je znaleźć (dlatego musiała wyjechać, uciec jak najdalej od tego miejsca, bo wspomnienie bolało jak drzazga w duszy).

O tym że rodzina daleko, ale może przyjedzie – jest ciepło, obrodziła aronia, a oni lubią...I jajka wezmą, zbiera już dwa tygodnie – rozdawać życie w skorupce, kiedy inaczej nie można – tyle jaj. O tym jak zdradziła przyjaciółka „od serca" dlatego Babka woli ze Stefciem rozmawiać, niźli z babami.

I o tym że ciężko tak samej, bo mąż bił, i się go przepędziło na cztery strony świata jednocześnie, wzywając wszystkie moce nieba, i zaklinając, i klnąc, i prosząc Boga, o północy w strugach deszczu, wyjący przekrzykując wiatr, żeby nie wracał.

Wiele się nie dzieje.

Potem przyjdzie Józwa.

Władek wpadnie.

Siostrzenica pod koniec tygodnia, pielęgniarka w piątek.

I może spadnie deszcz. Mógłby spaść, to wtenczas Lucek dłużej posiedzi, zanim wróci do swojego domu, szurając kapciami i znacząc drogę błyszczącą niteczką Ariadny – żyłeczką śliny.

Kupi herbatę, bo ta już wyszła. Konfitury otworzy – ponoć w tych grzybach dla sąsiadki, jakieś larwy były... Bez okularów je robiła tamtej jesieni...

Ale wstyd.

– Alik, na spacer – wypuszcza Babka Ewa starego jak czas psa na ganek. – Idź, polataj po wsi i mi opowiedz, bo ja już iść nie mogę, co się w Łęcznie dzieje. Idź.

Nie dzieje się wiele. Dlatego mądra Babka dużo wie, a opowieść o wiejskiej czarownicy która całuje dzieci w usta, (matki wiążą dzieciom czerwone wstążeczki na te uroki, uroczyste; urokliwe) rzuca czary, przeklina, zabiera urodę i lepiej jej do domu nie wpuszczać, bo nie, żyje własnym, z zataczanego kręgu, na zataczany krąg, coraz bardziej magicznym życiem. Jak w każdej wsi z jej urokami.

Tego znam aż za dobrze. Mijamy się, po kilka, czasem kilkanaście razy każdego dnia. Ocieramy się o siebie w natłoku traw. Pachnie bliskością.

Kiedy nocą nie mogę spać, a on wraca do domu, jest jedynym człowiekiem w tej ciemnej, leśnej głuszy, który stara się mnie nie zgubić, który zna mnie na pamięć; ufa mi..

Józwa - Adam

Najpierw pojawił się dym. Wypełnił powietrze pachnące sosnami wonią popiołu. Zakłębił się pewny siebie, mocny. Śmiało wypłynął z lasu na łąkę. Tam, figlarnie złączył się z zapachem mięty. I rozpłynął.

Mężczyzna prawie niewidoczny po-wśród drzew, porusza się z chrzęstem liści. Otrząsa z zadumania, zaciąga kawałkiem filtra.

– Ojoj – mruczy – a flaszeczki puste... Puste? – zadaje sam sobie pytanie, unosząc każdą z butelek tak, by na chwilę zachlupotało w nich chociaż światło. – Puste – przytakuje. – I grzybów też nie ma – zamyśla się, albo przysypia.– Nie ma... – ciągnie wewnętrzną skargę.

Strzela kiepem Mocnego prosto w las.

– Po wypłacie siedziałem, to grzyby były. Tu mi wyrósł – dziabie leżące igliwie. – Piwo wypiłem, zapaliłem – zaciąga się smakiem wspomnienia jak dymem – i wyrósł. O taki – usiłuje schwycić rozmiar grzyba palcem wskazującym i kciukiem. – Taaaki – hojnie macha rękami. – Piwo było, papierosy były, to i grzyby też – mężczyzna wzdycha, niby za nimi. – A tera ni ma nic. Butelki oddam, i spać idę.. Z ósma będzie... – obejmuje wiotką brzózkę, zamierzając wstać.

Cienkie drzewko, samosiejka sprzed kilku lat, schyla się wdzięcznie ku ziemi. – O,oo – pozbawiony oparcia, mamrocze – Co z tym drzewem jest? – uno-

szą się jakoś. Brzoza gładko, sprężyście z chichotem błyszczących liści, człowiek kostropato, miękko, że aż chwiejnie, podpierając się, jak konarem, trzymaną na ziemi ręką. Chwieje się. Obraca w tańcu starego Szamana wokół własnej osi. Bierze flaszki.

– Cosik nie tak, ręce dwie, flaszki trzy – kładzie jedną butelkę na ziemi. Gubi czapkę. Pochyla ku zgubie. Mija dłonią tę prawdziwą ze skóry i szwów, próbując ująć złudzenie majaczące obok. Chybi.

– Ło ty – skupia wzrok na czapce. Rzuca się desperacko do przodu. Przygniata daszek nogą, spręża się, łapie. Wyszarpuje coś spod lewego buta – Ciężka cholera.

Wkłada czapkę, zbiera butelki. Skłania się brzozie, albo pochyla w niemocy. Idzie do sklepu, miękko wpasowując chwiejność kroków w melodyjność ścieżki.

Siada pod murkiem.

Nie-stary człowiek – z sześćdziesięcioma wiosnami na karku, zmęczony dymem, spieraniem w Strudze zapachu kroków ze skarpet, piwem. Zmęczony mną.

Pomarszczony, wysmagany wiatrem nurt, ciągle płynący. Siedzi i odpoczywa.

Czekając na sklepową, zasypia.

* * *

Budzi go brzęk kluczy i gderliwe „Idź Józef spać, nie dam piwa".

Siada i czeka, aż wirujące wokół głowy słowa przystaną. Kiedy rozumie, sklepowej już nie ma. Zamykając za sobą kraty, uwięziła józwowe pragnienie w celi wyschniętego gardła.

Mężczyzna wstaje. Podchodzi do stojącego przed sklepem stolika. Gmera w popielniczce, jakby na złość sklepowej, znajduje peta.

Spluwa w pelargonie.

Wyciąga z kieszeni kapoty plastikową butelkę „Antałka". Łyka oszczędnie, na smaka.

– Taa – przeciąga moment.

Rusza w stronę, o której myśli „do domu" – ćwiartki czworaku, bez wody, prądu, poduszki. Z oknami uszczelnionymi flizeliną snów. Mija pole. Prosto jak w dym, jak w Księżyc, wchodzi na most, przekracza Rzekę. Zamyka codzienny trójkąt – dom, tartak, sklep, wreszcie dom.

Staje przed drzwiami.

Zapala kiepa z kieszeni. Zaciąga się ze dwa razy. Pstryka filtrem w noc. Odsapuje.

Pcha nie zamknięte drzwi, wchodzi do izby.

W tym miejscu tracę go z oczu. Mrok skrzypi.

W wilgotnym, wieczornym powietrzu, dym zastyga głupią, szarawą chmurą.

Zaraz – taki urok dymu – znika.

Wracam nad Rzekę. Gładkie ramię Mierzęckiej Strugi, przyciąga spojrzenie; leniwa elegancja drzemiącej księżniczki, ogon mruczącego kota. Błyszczy, chociaż śpi. Lśni, choć nie wiadomo jakie myśli, jaka głębia, jakie tajemnice skrywają się za gładkim, królewskim czołem panny srebrnowłosej. Mokry warkocz wśród kwiatów. Cienkie ćmy nad trawami.

Trochę jej tego zazdroszczę. Ale stać się Rzeką i płynąć z prądem, zamarzać zimą, ulatywać latem, nie, to nie dla mnie.

Wiję się wstążką zawiązaną po-wśród drzew, po-wśród pól, po-wśród traw. Doprowadzam, albo oddalam od celu. Hipnotyzuję jak wąż – czasem leżę posłusznie, żółtym piaskiem łasząc się do Twych stóp; a czasem, plącząc się wśród kamieni, zmieniam nagle kierunek i jak urzeczony musisz się mnie trzymać...

...jeśli chcesz iść dalej Wędrowcze, jesteś mój.

Burza przychodzi zawsze z tej samej strony. I jest – co doskonale widzę z miejsca, w którym się znajduję – inna za każdym razem.

Jestem. Drogą przez Łęczno. A...?

III miejsce w kategorii prozy

Cezary Dobies

Prezydent

Prezydent był wybrany demokratycznie i sprawował władzę w mieście. Było ono ani małe, ani duże, takie w sam raz do rządzenia. W dużych miastach sprawuje się władzę niewygodnie, gdyż na ręce patrzą wszyscy: mieszkańcy, dziennikarze, telewizja, cały kraj, zaś małe zawsze rządzą się same. Dlatego najlepsze do władania bywają miasteczka średniej wielkości, które mogą być stolicami regionu czy nawet Europy i jednocześnie są za małe jak na stolicę kraju.

Prezydent, jak przystało na poważną osobę, miał ułożoną rodzinę, czyli ładną żonę i uśmiechnięte dzieci. Wokół dzieci, jak pokazywało zdjęcie przedwyborcze, bawiły się psy i koty, również ładne i uśmiechnięte.

Żona prezydenta zdawała sobie sprawę, że ssaki nie są monogamiczne, toteż posiadała kochanka. Oczywiście kochanek prezydentowej nie mógł być byle kim. W grę wchodził jedynie lekarz lub ksiądz. Prezydentowa wiedziała, że spotkania z księdzem byłyby dyskretne, takie zupełnie po bożemu, jednak romans z lekarzem wydawał się być zdrowszy.

Prezydent snuł domysły, że żona go zdradza z lekarzem. Jednak w tym podejrzeniu nie było nic pewnego. I to było o wiele bardziej niepokojące niż sam fakt zdrady. Gdyby wiedział, że jest tak czy siak, to by dał sobie spokój, jakoś by się z tym pogodził. Ale on nie wiedział. Był to duży ciężar niepewności. Któregoś dnia nie udźwignął go i wygadał się kumplowi. Prezydent miał również kumpli, należy dodać, chociaż nie wyglądał na takiego, który lubił ich mieć. Rzucił kiedyś przechylając głębszego:

– Przypuszczam, że żona się puszcza.

I natychmiast ugryzł się w język. Jeszcze nie zdążyły dobiec pytania – skąd wiesz, czy masz dowód? – ani pocieszenia w stylu – kobieta, nie posąg, w miejscu nie usiedzi – jeszcze rozmówca nie zdążył wziąć głębszego oddechu, a już prezydent odbił własną piłeczkę:

– Ale mi się zrymowało – dopowiedział. I na tym rzecz się zakończyła. Można powiedzieć, że w ogóle jej nie było, chociaż w środku, w duszy prezydenta, głęboko siedziała.

Postanowił zatem przekonać się na własne oczy i wykorzystał do tego dresing, który przylegał do ich sypialni i był umieszczony w centrum przestrzennego mieszkania, przez co zewsząd dochodziły do niego głosy. Dresing był doskonały do tego, aby się w nim skryć, gdyż posiadał wiele półek, zakamarków, drzwiczek i wiszących, długich ubrań. Poza tym, nawet gdyby małżonka postanowiła wejść po jakieś ubranie i rozejrzeć się uważnie, to miał prezydent wymówkę siedzenia w tym szafopokoju, ponieważ w środku był wmurowany sejf, do którego tylko on znał kody.

Prezydent dowiedział się, że żona spotyka się z lekarzem w ich mieszkaniu, we wtorki, tuż po godzinie jedenastej. W tym dniu jadał obiad z przedstawicielami rady miasta i zwykle z zaproszonym gościem. W owy wtorek prezydent przybył do ratusza, po czym zawiadomił sekretarkę o nagłej zmianie planów i poprosił, aby dzwoniła i odwoływała dzisiejsze spotkania, łącznie z obiadem, gdyż ma pilny wyjazd.

Było nieco po dziesiątej, kiedy przybył do mieszkania, toteż miał dużo czasu na przemyślenie strategii i wyważenie plusów, jak i minusów, miejsca swojego ukrycia. Po krótkim czasie prezydent poczuł przelewanie się w jelitach, które przechodziło w skurczowy wir. Wiedział, że musi zamknąć się w ubikacji. Być może była to natychmiastowa reakcja na stres, bowiem nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji, a może tego dnia wypił zbyt dużo kawy i ostatnia wyraźnie zadziałała. Tak czy siak, z ubikacji skorzystać musiał. Prezydent, jak każdy człowiek, ma swoje potrzeby fizjologiczne, chociaż tego nie widać na zdjęciach i plakatach przedwyborczych.

Szedł korytarzem, prosto, po czym skręcił w lewo i zamknął za sobą białe drzwi z małymi otworami na dole. Rozpiął spodnie. Opadły. Za nimi, w dół, ruszyła odzież osobista. Usiadł na sedesie i macając ręką po spodniach wydobył papierosa. Zapalił.

W domu prezydenta paliło się wszędzie, a to dlatego, że prezydent palił. Poza tym, żona również paliła, a dzieci były dorosłe.

– Dobrze, że mam papierosy, bez nich nie poszłoby tak łatwo – pomyślał. Nie myślał zbyt wiele, ale i miejsce nie sprzyjało kontemplacyjnej robótce. Trochę gwizdał, trochę nucił. W palcach trzymał papierosa. Dym unosił się w górę, jakby chciał uderzyć w sufit, po czym kołując powracał już nieco rzadszy i rozciągał się na boki.

Mężczyzna siedział i chwilami się pocił.

– Tak, połowę mam już z głowy – podejrzewał. Widział to po sobie, po jelitach, po w połowie wypalonym papierosie.

Druga połowa przyszła łatwiej, no i z pewnością szybciej. Jeszcze raz zaciągnął się dymem, pożegnalnie, i wrzucił papierosa do muszli. Zasyczało – psssy. Obrócił głowę w lewo, w kierunku zawieszonego na ścianie pojemnika. Urwał sporą długość papieru i wytarł się na wpół stojąc, na w pół kucając. Plecy wyginały się do przodu. Spuścił wodę, podciągnął bieliznę, po czym spodnie, zapinając je w pasie, i sprawdził czystość swych palców.

– No, mogą być – rzucił jeszcze raz okiem i dla pewności umył ręce.

Tak. Pobyt w ubikacji przyniósł mu ulgę. I właściwie mógłby już pójść do ratusza, do pracy, gdyby nie stało przed nim wielkie pytanie. Znak zapytania był tak duży, że nie dawał spokoju, bynajmniej, sprawiał, że prezydent z każdą minutą stawał się coraz mniejszy i mniejszy, i był tak mały, jak szpicel lub nastoletni podglądacz, który zatrzymuje wzrok przy oświetlonym oknie, kiedy rozbiera się dojrzała kobieta. Dobrze zadane pytanie jest ważniejsze od odpowiedzi, jest kluczem niemal do wszystkiego. Ale o tym prezydent nie wiedział, dlatego tkwił w małym szafopokoju, pomiędzy garniturami i sukniami, i czekał na przybycie kochanków.

Otworzyły się drzwi od mieszkania i rozległa się wesoła rozmowa. Żona niewiele mówiła, tylko odpowiadała lekkim śmiechem. Lekarz opowiadał dowcipy, krótkie i niezbyt błyskotliwe, które ich niewątpliwie bawiły. Chwilę zatrzymali się w kuchni, być może coś pili zimnego, po dźwiękach zamykanych szafek nie można zbyt dużo wywnioskować. Prezydent czekał w dresingu. Kiedy przeszli do sypialni, byli głośniejsi. Usiedli w fotelach na przeciw siebie. W rękach trzymali puchary z deserem. Lubili słodycze. Jedli.

– A więc to tak – rozmyślał prezydent. – Nie pomyliłem się nic a nic. Rozumiem wszystko, ale żeby z zaprzyjaźnionym lekarzem, żeby z tym lekarzem, który mi tak wiele zawdzięcza? To ja uwolniłem jego syna od wojska, a on mi teraz tak...

Prezydent przypomniał sobie dzień, w którym przyszedł lekarz i prosił o pomoc. Mówił długo o planach swojego syna, o tym że zamierza on zdawać egzaminy na trudny kierunek studiów. Lekarz chciał uchronić syna przed dodatkowym stresem, żeby wizja wojska nie zakłócała maturzyście spokoju. Prezydent wtedy pił mocny, kolorowy alkohol i nie słuchał uważnie, stąd rzucił bez namysłu:

– Wojsko życia nauczy! – powiedział. I chciał lekarza poklepać po ramieniu. Ale lekarz oburzył się i wybuchnął:

– Co ty mówisz?! Wojsko życia nauczy?! Mówisz jak prawdziwy szowinista, jak biedny chłopak, który przez całe życie był nikim, popychany z kąta w kąt, nadający się doskonale, aby w niego orać. Dla takiego dwa lata spędzone w wojsku będą zawsze czymś wspaniałym. Po raz pierwszy w życiu zostanie oderwany od pługa, od łopaty i kielni, i może społecznie awansować – od tego,

który wyłącznie myje korytarze i jest popychany, do funkcji popychacza. Taki zaszczyt nie trafi się po raz drugi. Chłopak zdaje sobie sprawę, że kiedy wyjdzie z wojska, to znowu będzie nikim, stąd obowiązki kaprala lub starszego szeregowca wypełnia z wyjątkową nadgorliwością, jakby chciał się tym wszystkim nasycić, nakrzyczeć, narozkazywać.

Prezydent wiedział, że lekarz ma rację. Słowa lekarza były dosadne. Jednak nie powiedział tego, bowiem nie lubił przyznawać komukolwiek racji. Niemniej nie dał się drugi raz prosić i dokonał starań, aby syn lekarza został przeniesiony do rezerwy.

Prezydent do wszystkich lekarzy miał jakąś odrazę. Czasami mawiał, że to najgorszy zawód, tuż po policjancie, i wtedy dodawał, że jeden i drugi działa zwykle tam, gdzie nie jest potrzebny. A czasami lekarza porównywał do słabego śpiewaka. Niejeden śpiewak fałszuje, zawodzi, że aż uszy bolą. Ale największy zawód może sprawić lekarz.

Siedzieli w fotelach dosyć długo. Prezydent w szafopokoju. Jedli. Kiedy jedli prezydent widział jego nogi. W końcu dojedli i odłożyli puchary na nocnej szafce. Żona usiadła na łóżku, lekarz obok niej. Ona paliła papierosa, trzymała popielniczkę w dłoni i pozwalała się obmacywać. Do chwili, w której wsunął rękę pod jej bluzkę.

– Jest okno otwarte – powiedziała. – Sąsiedzi widzą.

Okno było otwarte na oścież. Dym ulatywał górą.

W końcu zgasiła papierosa, odłożyła popielniczkę, zamknęła okno i naciągnęła ciężkie, brunatne zasłony. Wszystko było jasne, choć jedna żarówka świeciła skromnie i nastrojowo. Usiadła na łóżku, on przysunął się i kontynuował zabawę z piersiami. Uśmiechnęła się i rzuciła:

– O, tygrysku!

Można to owe „o, tygrysku!" porównać do „ale jesteś szybki" lub „dobrze, że jesteś szybki". Ale tak naprawdę nikt nie wie, co chciała powiedzieć. On przybliżył się do niej jeszcze bardziej, także jej ciało zmieniło się teraz z kształtu czwórki (gdy siedziała) w przewróconą literę „L". Nogi przechodziły w laskę krótszą.

– Poczekaj, wyciągnę poduszkę – powiedziała. A kiedy to powiedziała, byli już prawie nadzy.

– O, ptaszek jest już gotowy – dodała i przestała mówić.

Ruchy były zwyczajne, tradycyjne, wte i wewte, jak u każdego, i nieco przypominały pracę pulsacyjnej maszyny. Ona przechyliła głowę lekko, on wspierał się mocno na ramionach. Prezydent pocił się razem z nimi. Był gotowy do tego, aby wyjść z ukrycia, przerwać im, powiedzieć, co o tym myśli, a nawet lekarzowi dać w mordę. Ale tego nie zrobił. Siedział posłusznie w zakamarku i czekał, aż skończą. Uświadomił sobie w jednej chwili, gdzie powinno

być jego miejsce oraz to, że nie można jednocześnie zostać prezydentem i podglądaczem. A tymczasem wybory tuż tuż. Prezydent zamierzał kandydować na następną kadencję i wiedział, że jakakolwiek afera nie przyniesie mu pożytku, bynajmniej, przyczyni się do rychłej porażki i politycznej ruiny.

– Tak, trzeba przymknąć oczy – pomyślał. – Nie mogę opozycji dać takiego argumentu. Zrobiłbym pułapkę na siebie we własnym domu.

Prezydent zdawał sobie sprawę, że nie może spalić mostów, obrazić się i zamknąć pewnej historii, jak przeczytanej książki, jeśli nadal chce być tym samym człowiekiem. Nawet historia bydlaka wiąże się z ludźmi, a cóż zatem mówić o prezydencie? Z żoną miał wspólne dzieci, a z lekarzem finansowe udziały. I co, miałby teraz to zniszczyć, tylko dlatego, że zachował się jak nastoletni podglądacz, a nie jak prezydent? Człowiek rozumny nie urwie znajomości z innym człowiekiem, nie będzie robił z siebie błazna i udawał, że drugiego nie zna. Koniec nie leży w gestii człowieka. Ludzie mają prawo dawać przyczynę i powoływać początek, ale nie powinni ustanawiać końca. Koniec może przynieść tylko Bóg lub człowiek słaby, na przykład zbrodniarz.

Nagroda im. Józefa Majkowskiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

Łucja Gocek

Ból

rodził mnie tyle razy
że lepiej niż matka zna mój
krzyk

wyrzucał z siebie jak jonasza
i pochłaniał znowu
wytrawiał w swoich trzewiach
by usunąć skazy

kiedy oddawał światu
blizny powracały

uczyłem się
nie odwracać wzroku
tylko tak mogłem
zasiać na nich uśmiech

źdźbła za każdym razem
stawały się mocniejsze i wyższe

teraz wiem na to właśnie liczył
i czeka że za którymś razem
zanurzę się w nim bez lęku
narodzę bez krzyku czysty

tego chce
jak Bóg

Pod prąd

wojny toczą się od zawsze
na maczugi dzidy karabiny
i języki.

śladów tych ostatnich nie znajdziesz
w zbiorowych mogiłach
skradają się ulicami i zajmują domy.

nie wiesz kiedy wejdziesz na minowe pola
ani w czyich ustach okopał się wróg.
byle błahostka może być sygnałem do natarcia

w bojowy szereg ustawić plotki i pretensje.
nawet niewybuchom ukrytym głęboko
wróci niszczycielska moc.

ta wojna łamie także mleczne zęby.
w szczerbatych buziach już tlą się płomyki
z których urośnie kiedyś łatwopalny stos.

milczenie jest tymczasową kryjówką
albo kamuflażem. ma drugie dno
pod którym też skwierczą języki.
.
choćbyś słowa zanurzył w Słowie
wynurzą się z wód przejrzystych. popłyną.
popłyną pod prąd.

Na plaży

Nie wiem kim jest człowiek na pustej plaży
czy ucieka przed sobą czy raczej siebie próbuje
odnaleźć. Przypomina mi jedno z wcieleń ojca
którego nie znałem a stwarzałem wielokroć
w chłopięcej wyobraźni.

Jego nieobecność byłaby może mniej dotkliwa
gdybym nie musiał wymyślać mu imion i życiorysów
bo słowo *bękart* nie zawsze dało się odparować
ciosem czy kopniakiem.

Nie wiem kim jest człowiek na pustej plaży.
Trochę przypomina Chrystusa z obrazu
w sypialni babci. Z pewnością wielu drwiło
gdy o świątyni mówił jak o domu Ojca.

Był przecież zwyczajnym chłopcem a ludzie
już wtedy mieli długie języki i czaszki zbyt kruche
by nie połamały się w zderzeniu
z niepokalanym poczęciem.

Człowiek na pustej plaży wyciąga na boki
ramiona. Jego cień przypomina krzyż. Taki jest
dar od ojców takie znamię synów. Ale cień znika
a na piasku nie ma śladów krwi.

Przenoszę wzrok na wózek który pcham przed sobą.
Mój pierworodny woła: *tato pats!* Mewa tuż obok
wzbiła się do lotu. Cień o znajomym kształcie
na moment przywarł mu do buzi. Mnie

przeniknął dreszcz. Potem do wózka znów
wślizgnęło się słońce. Czerwone

jak krew.

Wiano

Krajobraz wyblakł jak listy prababki
których jakimś cudem
nie strawiły ogniska potomnych
i choć skażone zapachem stęchlizny
zdumiewają staranną rzeźbą liter
i wykwintnym stylem
Skąd u wiejskiej akuszerki
taka wrażliwość i polot? Nie pasują
do rąk nużających się w ziemi i krwi

Ziemia nie zdradzi niczego
Rodzi niezależnie od tego kto posiał
i kto zbierze plony. A wszystko co urodzi
strawi w swoich trzewiach
jak kości mężczyzny którego prababka
w listach nazywała Najdroższym Teosiem.
I jak te butwiejące pod nogami liście
albo ledwie co posiane w polu
ziarna zbóż ozimych

I krew tajemnic nie odsłoni
choć we wianie od niej
mam zarys podbródka i kolor tęczówek
Pozostaje więc tylko wyobraźnia:
w wyblakłym krajobrazie wąska nitka drogi
której z nadzieją czepiają się oczy
Ale na drodze tylko kurz i obce kroki
(po bitwie pod Kaniowem Teodor
przepadł gdzieś bez wieści)

Prababka listy związała niczym pępowinę
by nie dać się wykrwawić zapisanym słowom
Teraz uwolnione
rysują w stosie skruszonych cegieł
gwarne dziecięce pokoje i martwą sypialnię
W wyblakły krajobraz za dawnym jej domem
rzucają wiązkę światła. W moje zagubienie
wślizguje się ocalona na kartkach
wąska nitka drogi

Nagroda Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Elżbieta Bugajna

Szëkóm

Szëkóm
Znaczeniô
Mòjégò bëcô
Jistnienié
Swiãtoscą żëcô
Co przék jidze
Swiatowim módóm
Jistota – jô
Niesamô
Mëslama i swiądą
Przigòdnotë
Codniowòtë w miłocë
I czinach
Co dôwają nôdzejã
W przindnotã
Dërch òd nowa
Pòwstôwómë
Chòc słabi jesmë
I ùpôdómë
Lëbawi
Takô je nasza Stegna
Nié miéjmë strachù
Òn je z nama

Nagroda Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku

Bolesław Bork

Lesné òkrëszënë

Jô jem Lesôk, w lese ùrodzony ë ùrosłi. Las bél ze mną, a jô z nim òd pòczątkù mòjëch dniów. W lese jem czël sã tak, jak doma, a mòże jesz lepi. Do lasu mie wiedno cygnã ë cygnie pò dzys dzéń. Jak blós móm leżnosc, smarëjã w ne lasë darżlebskò-òléwsczé, a móm je dëcht pòd nosã, bò terô mieszkóm w Rekòwie.

Bél jem jesz knérpsã z wiôlgą grzëwą ë kòszlawëma gejdama. Kòszlawëma, bò mie chwôcëła anielskô chòroba. Mój ópapa brôł mie ze sobą do paseniô bëdła w naszich jérkach. Nôwicy më sã zatrzimiwalë w drëdżim rowie, gdze rosłé naszé bùczi. Tu mie mielë dwa òkóma sebie pnie, na chtërnëch më wësadiwalë, a nasz mądri Ami pilowôł naszą chòwã. Ópapa prawił mie ò stôrëch dzejach, a jô gãbsczi òtmikôł ë słëchôł, a jak mie sã sprzikrzëło, zdrzôł w górã, gdze wiater mùzykòwôł pò swòjémù w wietwach, a słonuszkò zabôwia sã lëstama. Słëchôł ópapòwëch pòwiôstków, a tam w górze nierôz ùkazywa sã te zdarzenia, ò jaczich mie prawił, tak jem bél zazdrzóny w lëstë i zasłëchóny. A to nie bëłë żódné tam plestë, a wspòminczi tegò, co sóm za młodëch lat przeżił abò co jemù òpòwiôdôł jegò tatk ë stark, a téż starka òjc, a móże téż ópapa.

Jinym razã më szlë z ópą zbierac grzibczi w lese za zeloną drogą. Tam rosłë prawie same bùczi, a na niwach gãsté krze. Ópa chòdzył pò wiôldżim lese, a mie kôzôł zazerac pòd ne charzcze. Mie przepadło apartné szczescé. Jô wëcygnął z chróstów wieldżégò grzëba z taką machtną czerwioną szpérą, a kapelusz miôł jak ómamiena glënionô miseczka.

Ale jô sã ùcesził. Chwôcôł gò za nã grëbą nogã ë gnôł do ópapë. Pò drodze nodżi mie sã zaplątalë w jaczichs wietwach ë jô pãkł jak dłudżi na zemiã, a nen pëszny grzib dostôł przë tim taczi drén, że jô le òtrzimôł w gróscy tã czerwònawą szpérã. Jô w rëk, a ópapa przëbiegnął do mie ë z dôleka sã pitôł co sã stało.

– Mój grzib, nen piãkny prawdzywk!

Ópapa le wezdrzôł na nogã, chtërna jô trzimôł w rãce ë zaczął sã na całi głos smiôc, co mie sã – rzecz jasnô – nie widza ë zrobił jem baro kwasną mùrzã.

– Ópa sã smieje, a mie sã chce bëczëc. Ten grzib to bë bëło wnetkã pôłnié dlô nas wszëtczich. To nie je do smiéchù – rzekł jem mòcno òbrażony.

– Tak, tak. Pôłnié dlô wszëtczich ë pògrzéb dlô wszëtczich. Ten twój grzib na talerzu béłbë nôwikszim nieszczescym dlô naji familii. Tak knôpie, na grzebach trzeba sã znac.

Ópapa kôzôł wërznąc nogã tegò grzëba dalek w krze, a rãce wëcarł mie swòjim tobacznym sznëpelduchã. A tej bëło kôzanié ò tim, jaczé grzëbë są do jedzeniô, a jaczé trëjącé ë pò czim je trzeba pòznawac. Abò jô wiele z tegò zapamiãtôł?

– Ten grzib na naszą kaszëbską zemiã zasôł szatan ë tak òn sã zwie. Jegò trzeba sã wëstrzegac, bò òn je baro pòdobny do prawdzywka – zakùńcził swòjã nôùkã ò dobrëch i złich grzëbach. A miôł jô przë tim baro kwasną minã. Wiéta wa, że to nie je dëcht przëjemno z wiôldżi ùceszi przestawic sã na sromòtã ë wstid. Jô tegò nikòmù nie żëczã.

Jak jô béł përznã wikszi, tej mie przëpadło samémù pasc naszé kruszczi. Tegò dnia pasł jem kòle zelony drodżi na rżëskù, gdze niewiele bëło zjôdkù dlô krówków. To sã działo we westrzódkù lata tej, czej gzéle nôbarżi jidą na bëdło. Nôprzód bùńta wlazła w ne krze na niwach, gdze bëła céń, a gzyczi na niã tak nie nacérałë. Tam spòkójno pòjôda co swiéższé lëstczi. Za nią zrobiła to samò mëszka, côrnô, ta z tą blésą ë to drobniészé bëdełkò. Jô béł z tegò baro fró. Nie mùszôł sã ùganiac ë trzëmac całą rótã przë grëpie.

Jô sôdł w céniu pòd dąbkã ë wnetkã ùsnął, a ne jałowice, pewno niszrich swiata, szłë so corôz dali w las, bò tam béł chłód, a téż rosła smacznô trôwa. Jak jedna z krów zarëcza, bò to béł czas do nëkaniô nad stôw (jima chca sã pewno pic w taczi gòrączce), a tej pewno zatesknia do swégò chléwa, gdze ani słuńce, ani gzéle nie dokùcza, tej jô sã òbùdzył, zerwôł na równé nodżi ë zaczął znëkiwac mòjã chùdobã do grëpë. Jô sã ni mógł dorechòwac mòji gromadczi, bò co jedno szło do grëpë, drëdżé sã rozłazëło pò lese. Szemla zniecerplëwionô tim mòjim gònienim, pòdniosła tëpã w górã ë ùjã w stronã wsë do stawù. Jak jedna pòdniosła ògón w górã, to za nią wszëtczé. Jô nie darwôł wòłac: łołe, łołe..., le mùszôł za nima dzerzgnąc pòd dodóm. Nôprzód w chléwie jô zmërkôł, że jedny jałowicë ni ma. Co tu robic? Pòwiedzec mëmie? Tace bëm nie chcôł tegò rzec, bò bëm dostôł pò bùksach. Nie rzekł nick nikòmù, le ùjął do lasu szëkac zgùbë. Ami szedł za mną, bò zmërkôł, że cosz nie je tak.

Jidã zeloną drogą prosto w las, a pies gòni pò krzach, òbzérô so, nawetkã pòdskakùje ë òd czasu do czasu pòszczekùje. Wié to mądré psëskò, że szukómë krowë. A jô gò zachãcóm jak mògã ë zdrzã w cemné place nié tëlé za jałowicą, jak za lesnym, czë tam czasã nie sedzy pòd drzéwicã, czë téż jakòsz baba, na złoslëwô kackô cotka, a mòże wilk? Szukómë ë szukómë, niwów ju nie widzã, a pòmału tracã bézénug, gdze më richtich jesmë. Las je corôz gãstszi, słuńce ze stronë ledwie przeswitô przez ten zelony dach nad nama. Pitóm sã psa i sóm sebie, gdze më jesmë? Corôz wiãkszi strach mie bierze, òczë dzëkò lôtają, mùnie sã trzãsą, nodżi sztiwnieją. Jesz përznã, a zacznã rëczëc na całi głos.

Ale, ale, co to? Pies szczeknął pôrã razy, krówka zabecza, a mie sã stało często letkò na sercu. Ami przënëkôł zgùbã ë sã ceził wicy òde mie.

– Dobri pieskù, dobri – pòchwôlił jem gò, a òn jaż tëpą rëził z ùceszi.

Nagroda
Burmistrza Miasta Lęborka

Tadeusz Buraczewski

Tarcza Nipkowa

Wiadomo – tarcza – to remedium
– na topór, czekan, miecz czy dzidę,
ćwiekiem nabita – blachą pokryta –
– a i bóg Zeus miał – egidę.

Bywają jednak różne paiże,
a tarcz historia – kręta, długa...
Jak wici niosą – te najważniejsze
się objawiły – na Kaszubach...

To w Gdańsku – Scutum Sobiescianum*?..
– Heweliuszowi było dane –
– by tarczę świata chrześcijaństwa
w niebiańsko – wieczny wnieść firmament.

By przed terrorem świat ten chronić
Ba! Z USA jakby po słowie...
Miał Lech z braciszkiem Czechem
– stanąć przy tarczy w Redzikowie.

I gość w Lęborku na Młynarskiej
elektroteleskop skonstruował:
– jak posłać obraz na odległość..?
Nazwano rzecz – „tarczą Nipkowa"

Tak Nipkow – Ojcem Telewizji został!
Niech pamiętają Lęborczanie,
że tych co z tarczą i na tarczy
(dzięki Paulowi – Kaszubowi)
mogą oglądać – na ekranie!...

** – gwiazdozbiór Tarcza Sobieskiego*

Nagroda
dla młodego twórcy lęborskiego

Karolina Wiercigroch

Proces myślowy Tomasza L.

Był ciepły, wiosenny dzień, kiedy Tomasz L. przekraczał próg nowego mieszkania. Na waniliowym niebie rozgrywała się trzymająca w napięciu gonitwa słońca i chmur. Dzięki temu było jasno i pogodnie, ale nie irytująco gorąco. Perfekcyjnie. Pogoda stwarzała pierwszą w tym roku okazję do założenia wiosennych płaszczy i lekkich butów. Oczywiście z najnowszych kolekcji.

Delikatny wiatr dyskretnie szeleścił liśćmi w odcieniu soczystej zieleni, które zdążyły już pojawić się na drzewach. Były tak zielone, że aż trudno było uwierzyć, że są dziełem natury. Wydawałoby się raczej, że główny ogrodnik osiedla „Dekadencja" wyciął je z jakiejś liściopodobnej masy wykonanej z absolutnie trwałych materiałów stosowanych w przemyśle kosmicznym i sam ponaklejał na gałęziach, odmierzywszy wcześniej idealnie równe, ale nie budzące podejrzeń odstępy. Być może tak właśnie było. Ozdobne krzewy i urocze drzewka owocowe stały bowiem w pozornie naturalnym nieładzie, który przypadkowy obserwator mógłby wziąć za dzieło wiatru i nasion. Tak naprawdę zostały jednak rozmieszczone według starannie przygotowanego planu znanego architekta zieleni. Zgodnie z najnowszą, londyńską modą, która przywracała dawną świetność ogrodów w angielskim stylu i nakazywała ustawianie drzew w sposób, który wyglądał na pozbawiony ludzkiej ingerencji. Tomasz L. doskonale znał się na ogrodniczych trendach – w końcu był stałym czytelnikiem „The Secret Garden", szalenie popularnego brytyjskiego magazynu traktującego o architekturze zieleni. Dlatego cieszył się, że na osiedlu, na którym miał wkrótce zamieszkać, najwyraźniej także prenumerowali pismo.

Jeszcze raz pogratulował sobie słusznego wyboru. Osiedle apartamentowców w prestiżowej, ale jeszcze nie nieznośnie modnej dzielnicy Warszawy było idealnym miejscem dla mężczyzny takiego, jakim pragnął być Tomasz L. Doskonale podkreślało jego status. Było przedmiotem zazdrości kolegów oraz, oczywiście, maluczkich. Za chwilę miało stać się modne; Tomasz L. wybrał,

więc idealny moment, żeby się wprowadzić. Wiosna nie była tu przypadkowa. Wszystko budzi się wtedy ponownie do życia, dlatego ta pora roku świetnie nadaje się na wielką zmianę. Miał nadzieję, że koledzy sami zauważą dyskretną symbolikę tego gestu. Jeśli jednak okazaliby się niewystarczająco spostrzegawczy, Tomasz L. miał zamiar mimochodem wspomnieć o tym „fascynującym zbiegu okoliczności". Abstrahując od tego metaforycznego wymiaru, dzień był naprawdę ładny i wszystko wyglądało jak w reklamie prawdziwego szczęścia.

Tomasz L. był pewien, że jest o krok od osiągnięcia prawdziwego szczęścia. Należało mu się, był tego pewien. Pracował na nie już od kilku lat i – choć nie lubił przyznawać się do tego nawet sam przed sobą – była to praca cholernie męcząca. W głębi duszy czuł, że szczęście musi czaić się tuż za rogiem. Nie byłby chyba w stanie wytrzymać dalszej gonitwy. Tomasz L. miał już prawie wszystko, czego mógłby życzyć sobie prawdziwie szczęśliwy człowiek. Pracował na stanowisku managera w prestiżowej, międzynarodowej korporacji. Miał biuro wielkości małego boiska do koszykówki i sekretarkę, która stanowiła idealne połączenie profesjonalizmu i dobrej prezencji. Jadał lunch tylko z kadrą zarządzającą i zagranicznymi klientami. Był na szczycie.

Jeździł najnowszym modelem sportowego samochodu. Według Tomasza L. nie był to wcale najlepszy model, jaki można sobie wyobrazić. Widział dużo ładniejszych samochodów. Właściwie, to niezbyt mu się podobał. Ale od kilku tygodni niezmiennie zajmował pierwsze miejsce w rankingu „Twój Lśniący Samochód". Pisma motoryzacyjnego. Jedynego, z którym warto było się liczyć. Co oznaczało, że ten właśnie model był *pożądany*. Tomasz L. wiedział, że szczęście wymaga poświęceń. Dlatego kupił sobie ten samochód i codziennie jeździł nim do pracy.

Tomasz L. miał idealną dziewczynę, którą zabierał na firmowe bankiety i która zajmowała miejsce koło niego, kiedy jeździli jego nowym, sportowym samochodem. LuLu idealnie prezentowała się na tle kremowej, skórzanej tapicerki, a grafitowy lakier pięknie kontrastował z jej błękitnymi oczami. Poza tym, miała śliczne nogi i wspaniałe, prawdziwie lśniące włosy. Stanowiła dla Tomasza doskonałą partię. Co nie oznacza wcale, że jej wygląd był dla niego najważniejszy. Lata dziewięćdziesiąte, kiedy liczyła się tylko ładna buzia i kształtny biust, bezpowrotnie minęły i trzeba było się z tym pogodzić. Dlatego znalezienie idealnej partnerki było dużo trudniejsze, niż wtedy. Ale Tomasz L. poradził sobie doskonale. LuLu była nie tylko zjawiskowo piękna. Pracowała jako specjalistka od reklamy w małej agencji, co było nie tylko wyrazem jej kreatywności, ale także niezależności i alternatywnego podejścia do życia. LuLu mogłaby pracować w wielkiej korporacji, tak jak Tomasz L., ale tam nie pracowała, bo była słodka i urocza. Trochę jak Holly Golightly i trochę jak Carrie Bradshaw. LuLu miała świetny gust i zawsze była odpowiednio ubrana. Poza tym, interesowała

się kulturą Wschodu, co było nieco *passé*, ale dopuszczalne u tak czarującej osóbki, jak LuLu.

LuLu naprawdę fascynowała kultura Wschodu. Tomasza L. tak naprawdę nie fascynowało nic, ale doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważne jest posiadanie jakichś pasji. Najlepiej oryginalnych. I kosztownych. Ta część wędrówki ku szczęściu zajęła mu całkiem sporo czasu i była usłana cierniami. Większość akceptowalnych w towarzystwie hobby nużyła go. Próbował zainteresować się bałkańską sztuką filmową. Jeździł na festiwale i brał udział w dyskusjach na ten temat, ale filmy wydawały mu się wyjątkowo nudne i mało zrozumiałe. Z ulgą porzucił tę formę rozrywki po pół roku. Znajomy poradził mu, żeby przerzucił się na sport: jest równie mile widziany, a jednocześnie zapewnia dobrą sylwetkę. Tomasz L. ucieszył się, gdyż, jako mały chłopiec, bardzo lubił grać w piłkę nożną. Niestety, okazało się, że jest zdecydowanie zbyt prozaiczna. Chłopak na byle podwórku może grać w piłkę. Więc ktoś taki, jak Tomasz L., nie powinien. Spróbował golfa, squasha i lacrosse'a. Żadna z tych gier nie przypadła mu do gustu, co mógłby zresztą przeboleć – w końcu nie robił tego dla zabawy. Co gorsza, nie wykazywał żadnych zdolności w tej materii, a więc musiał czym prędzej zrezygnować. Jeśli już uprawia się sport, trzeba być w tym najlepszym. Albo przynajmniej wybitnym. W akcie desperacji Tomasz L. postanowił zostać bywalcem teatrów, chociaż nigdy za tym nie przepadał. Okazało się jednak, że musi się bardziej sprecyzować – byle kto mówi, że interesuje się teatrem, mimo, że w ciągu roku chodzi tylko na kilka przypadkowo wybranych spektakli. Wybrał operę, bo – po epizodzie z bałkańskim kinem – miał dosyć alternatywnych, niszowych produkcji. Poza tym, dobre miejsca w Operze Narodowej były całkiem drogie, a na premierach bywała śmietanka towarzyska stolicy. Mógłby też jeździć chociażby do La Scali w Mediolanie albo do Royal Opera House na Covent Garden w Londynie i opowiadać o tym później na przyjęciach. Plan był znakomity. Tomasz L. wytrzymał jedynie dwa miesiące. Był pewien, że fizycznie nie jest w stanie znieść tak wysokich tonacji. Rozważał zakup stoperów do uszu, które mógłby zakładać na czas przedstawienia. I tak nie rozumiał nic z tego, co śpiewali artyści. Po części dlatego, że chodził tylko na klasyczne włoskie opery, a po części dlatego, że śpiewano bardzo niewyraźnie. W końcu jednak zrezygnował. Ostatecznie został przy degustacji win i nurkowaniu. Były to czynności względnie przyjemne, kosztowne i wymagające podróżowania, które zawsze było dobrze odbierane. Teraz, po dwóch latach wycieczek do Bordeaux i Egiptu wydawało mu się, że całkiem lubi nieco zbyt cierpki smak czerwonego wina oraz potworne uczucie zagubienia, kiedy zanurza się w słonej wodzie.

Jak widać, Tomasz L. był prawie szczęśliwym człowiekiem. Kiedy spoglądał na swoje życie z boku, wydawało mu się doskonałe. Bajeczne mieszkanie było ostatnią rzeczą, której brakowało mu do szczęścia.

Tomasz L. przekręcił klucz w zamku i popchnął ciężkie, mahoniowe drzwi – osobisty wybór dekoratora („Moda na lekką zabudowę – tak, ale drzwi wejściowe muszą być solidne."). Mieszkanie było prawie całkowicie urządzone. Otwarta przestrzeń, światło, soczyste barwy – dzieło uznanego architekta wnętrz, zgodnie z obowiązującymi trendami. Meble idealnie odpowiadające tym z tegorocznych targów w Mediolanie. Kilka kosztownych dzieł sztuki mało znanych artystów, których podsunęła mu przyjaciółka Sabina („Doskonała inwestycja. I zobacz, jakie to piękne!"). Importowane kafelki, afrykańskie drewno, weneckie szkło. Mieszkanie idealne dla takiego mężczyzny, jakim chciałby być Tomasz L. Pozostawała tylko jedna poważna wątpliwość – telewizja.

Ten problem nie dawał mu spokoju już od jakiegoś czasu. Teraz, kiedy przyszedł obejrzeć swój nowy dom, także nie mógł przestać o nim myśleć. Tomasz L. podniósł ze stolika wykonaną ze szkła czaszkę (prezent od Sabiny, która z niewyjaśnionych przyczyn uwielbiała przypominać ludziom o upływającym czasie, jak również uważała, że szklana rzeźba idealnie będzie pasować do minimalistycznego salonu Tomasza L.). Obrócił ją kilka razy dłoni. Malowniczo ustawił się na tle ogromnego okna z mlecznego szkła i postanowił ostatecznie rozwiązać ten dręczący go dylemat. Mimo wnikliwej lektury lifestylowych pism oraz licznych wywiadów przeprowadzonych wśród znajomych, Tomasz L. był w kropce. W modzie było zarówno krytykowanie telewizji i głośne ogłaszanie, że się jej absolutnie nie ogląda, jak i chwalenie się coraz nowszymi modelami plazmowych telewizorów.

Postronnemu obserwatorowi problem mógł wydawać się trywialny, ale Tomasz L. nie wiedział, czy powinien kupić sobie telewizor i wpadał w coraz głębszą depresję, ponieważ nie był w stanie podjąć tej decyzji. Wiedział, że może ona zaważyć na jego starannie wypracowanym szczęściu. Co pomyślą jego znajomi, kiedy zobaczą, że kupił sobie gigantyczny telewizor? Czyżby był jednym z tych osobników o znikomym poziomie intelektu, którzy całymi dniami wlepiają ślepia w ekran i nie mają nic lepszego do roboty w piątkowy wieczór niż oglądanie kolejnego odcinka „Niekończącej się opowieści" albo „ABC jak Alfabet"?! Co pomyślą, kiedy zobaczą, że w jego idealnym mieszkaniu nie ma telewizora? Czyżby jego platynowa karta kredytowa nie pozwalała na zakup najnowszego modelu super-płaskiej plazmy lub, co gorsza, czyżby nie orientował się nawet, która plazma jest najbardziej płaska?!

Tomasz L. wiedział, że najbardziej racjonalnie byłoby zdecydować samodzielnie i nie przejmować się zdaniem innych. Przecież jedni mają telewizory, inni nie. I jakoś dają sobie radę. Mimo znacznego zadufania w sobie i przerośniętego ego, Tomasz L. potrafił przyznać się – sam przed sobą – do niektórych wad własnych. Dlatego wiedział, że nie będzie w stanie samodzielnie podjąć decyzji. Nie posiadał bowiem opinii na absolutnie żaden temat. Pozostawał tak

skupiony na kopiowaniu innych i podążaniu za trendami, że nie pamiętał nawet, czy kiedykolwiek miał własne zdanie w jakiejkolwiek materii. Był naśladowcą idealnym w każdym calu. Lata praktyki nauczyły go szybkości i sprawności w działaniu. Potrafił podchwytywać trendy, jak nikt inny. Wystarczył jeden impuls, aby Tomasz L. był gotowy do odwrócenia swojego życia o trzysta sześćdziesiąt stopni. Nigdy jednak nie próbował forsować własnych pomysłów. To wiązało się z ryzykiem. Tomasz L. pogardzał ryzykiem. Co, jeśli wymyślona przez niego moda nie przyjmie się, a on zostanie pośmiewiskiem całego towarzystwa? Tomasz L. nie chciał nawet wyobrażać sobie takiej zniewagi. Widział wiele podobnych upadków i nigdy nie chciałby zająć miejsca takiej osoby. Ostracyzm społeczny gwarantowany. Czasem konieczna bywa przeprowadzka. Czasem udaje się wrócić do łask, ale już nigdy na wysoką pozycję. Tomasz L. całe życie trzymał się w czołówce, ale nigdy nie atakował pozycji lidera. Było mu z tym dobrze. Zdawał sobie sprawę, że nie ma własnych poglądów, ale zazwyczaj nie przeszkadzało mu to zbytnio. Nie wiedział tylko, co począć z tym nieszczęsnym telewizorem.

Opinie znajomych były podzielone. Sabina nie miała telewizora i nie znosiła telewizji. Ale ona była artystką, więc było to całkowicie zrozumiałe. Poza tym, cały czas gdzieś uciekała i nikt nie traktował jej zbyt serio. No i była kobietą. Im o wiele więcej uchodzi na sucho.

Inny artysta – Hubert Hubert, pisarz – miał telewizor. Najnowszą, ogromną plazmę. Na ścianie w salonie. Z tym, że zarzekał się, że ogląda tylko i wyłącznie wiadomości – do których i tak podchodzi z dużą rezerwą – oraz jazdę figurową na lodzie. Wtórował Sabinie, kiedy krytykowała rozrywkowe programy, których, rzecz jasna, nigdy w życiu nie oglądała. Hubert Hubert powtarzał każdemu, kto zgodził się go wysłuchać, że kupił telewizor dla swojej córki Anabelli, która uwielbiała telewizję i wielbiła telewizyjne sławy. Bez przerwy przeglądała kolorowe magazyny z ich zdjęciami, a w wolnych chwilach wyrywała te zdjęcia i oblepiała nimi ściany pokoju. Anabella miała jakieś jedenaście lat i najwyżej metr czterdzieści pięć wzrostu, więc wszyscy podchodzili do tego z dużą dozą wyrozumiałości. A Hubert Hubert mógł chwalić się swoją plazmą. Byłoby to idealne rozwiązanie dla Tomasza L. Niestety, nie posiadał córki. Przez moment rozważał adopcję jakiejś biednej dziewczynki, chociażby z Azji, dla której mógłby kupić ogromny telewizor. Wtedy musiałby jednak oddać jej jeden pokój w swoim mieszkaniu i zrezygnować z barku stylizowanego na saloon rodem z Dzikiego Zachodu, z którego był bardzo dumny. Wolał już nie mieć telewizora. Właściwie, mógłby zamieszkać z LuLu i wmówić znajomym, że to ona uwielbia oglądać telewizję. Tomasz L. bał się jednak, że dziewczyny w typie LuLu mogą niedługo wyjść z mody. Wszyscy pokazywali się z uroczymi laleczkami już od kilku miesięcy. Zmiana mogła, więc nastąpić w każdej chwili.

Kolega Tomasza L., Marcel, już od dawna lansował modę na Azjatki, co kilka tygodni pokazując się wszędzie, gdzie się dało, z inną modelką o wschodniej urodzie. Nowa narzeczona Piotra była Wietnamką. Co prawda wychowała się w Paryżu, ale co z tego? O rosnącej popularności sushi już nie wspominając... Wszystko wskazywało na to, że to Azjatki będą tym czymś, bez czego nie warto pokazywać się w nadchodzącym sezonie. Tomasz L. nie zamierzał komplikować sobie życia proponując LuLu wspólne mieszkanie. Była kochana, ale troszeczkę zbyt serio podchodziła do takich spraw i mogłaby opacznie zrozumieć jego propozycję. Problem pozostawał: Tomasz L. nie wiedział, czy kupić ten przeklęty telewizor, czy nie.

Jego dobra koleżanka Emma oglądała telewizję przez cały czas. Miała w mieszkaniu chyba ze cztery plazmy, jedną nawet w łazience. Wyglądało to na lekką obsesję, ale wszyscy uwielbiali Emmę, bo dostarczała im dużo rozrywki i była naprawdę barwną postacią. Starała się wcielać telewizyjne scenariusze w życie. W związku z tym, za każdym razem, kiedy się ją spotykało, zachowywała się i wyglądała zupełnie inaczej – w zależności od tego, który serial akurat oglądała. Co więcej, zawsze nosiła przy sobie przenośne radio, żeby móc odtworzyć odpowiednią ścieżkę dźwiękową do przełomowych wydarzeń w swoim życiu. Kiedy puszczali „Lekarzy bez granic", Emma aplikowała na studia medyczne, a podczas „Szalonych lat disco" bez przerwy urządzała w swoim mieszkaniu zwariowane imprezy, nosiła cekiny i marynarki z poduszkami na ramionach i naprawdę zachowywała się, jakby żyła w latach osiemdziesiątych. Przy „Milczącym ze lwami" zupełnie się nie odzywała. Był to serial o pracowniku zoo, który rozstał się z narzeczoną i w związku z tym, postanowił nie odzywać się do nikogo przez trzy miesiące – dokładnie tyle, ile trwał ten nieszczęsny związek. W żadnym odcinku nic się za bardzo nie działo, ponieważ dialogi mogły odbywać się tylko pomiędzy drugoplanowymi postaciami, które były słabo dopracowane i raczej nudne. Z powodu małej oglądalności dosyć szybko zdjęli serial z anteny. Całe szczęście, bo milcząca Emma zaczynała być męcząca.

Im dłużej Tomasz L. się zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy nie będzie w stanie zdecydować, jaki powinien być jego stosunek do telewizji. Stale dostawał sprzeczne sygnały. Prawie wszyscy, którym zależało na opinii inteligentów, podnosili głosy krytyki. Preferowali inne formy spędzania wolnego czasu. Uważali, że telewizja jest dla niedouczonych mas. Jak opium. Albo religia. No właśnie, religia... Co z kultem celebrytów? Telewizyjne gwiazdy bywały wyśmiewane i krytykowane, jak cała machina telewizji. Ale już mieć znajomego z telewizji było w dobrym tonie. Moja koleżanka Hanka Na-Topie, prowadzi program „Gadanie na śniadanie". Mój dobry przyjaciel, Jan Znany, no wiecie, z tego popularnego serialu „Kochaj, nie kochaj – rób, co chcesz". Czy powinniśmy wiedzieć? Przecież podobno nie oglądamy telewizji.

Czy powinniśmy, więc, odpowiadać, że nie kojarzymy najbardziej znanego polskiego serialu o milionowej widowni? Nie do pomyślenia. Telewizja to ogromne inwestycje i pieniądze, a te zawsze są pożądane. Wiadomo, że bardziej elegancko byłoby inwestować w teatr albo młodzieżowe chóry gregoriańskie. Ale...

Tomasz L. od razu pomyślał o panu Czarnym, który dorobił się wielkiego majątku jako producent telewizyjny. Pan Czarny był powszechnie podziwiany, a młodziutka, śliczna Cecylia – w której podkochiwali się *wszyscy* – nie odstępowała go nawet na krok. Pan Czarny był potentatem. Dostrzegł okazję w odpowiednim momencie i nie bał się działać. Miał wspaniałe pomysły i idealnie trafiał w gusta publiczności. Jak to możliwe, że sama telewizja była odbierana negatywnie, ale już praca w niej stanowiła źródło prestiżu? W każdym razie, nie rozwiązywało to problemu Tomasza L. w najmniejszym nawet stopniu, ponieważ nie był pewien, czy pan Czarny posiada telewizor. Jego pozycja była zresztą na tyle mocna, że nie miało to żadnego znaczenia.

Telewizora nie miał za to Artur R., co stanowiło ważny argument przeciwko jego posiadaniu. Artur nie był jakimś zwariowanym, pijanym poetą, zagłębionym tylko w swojej sztuce i poszukującym innych stanów świadomości. Bo tak często wyglądała charakterystyka tych, którzy w wielkiej ankiecie za lub przeciw telewizji zakreśliliby tę drugą możliwość. W dodatku najprawdopodobniej użyliby w tym celu własnej krwi. Ale nie Artur R. On był normalnym, statecznym mężczyzną. Pracował jako radca prawny w korporacji Tomasza L., więc nie można było uznać go za wariata. Artur nie miał telewizora, bo przedkładał inne rozrywki nad oglądanie wielkiego, czarnego pudła. Co więcej, był największym gadżeciażem, jakiego kiedykolwiek spotkał Tomasz L. Nie było więc mowy, aby ktokolwiek mógł pomyśleć, że Artura nie stać na zakup superhiper plazmy lub posądzić go o brak obeznania w elektronicznych trendach. Artur miał wszystko najlepsze: zegarek, komputer, elektroniczny notes, samochód, elektryczną maszynkę do golenia, sprzęt sportowy oraz najbardziej modne i najdroższe spinki do mankietów. Artur bardzo dbał o to, żeby nikt nie zobaczył go więcej niż raz z tymi samymi spinkami. Zainstalował w swoim elektronicznym notesie specjalną aplikację, która pozwalała mu gromadzić dane na temat tego, które spinki miał na sobie podczas spotkania z poszczególnymi osobami. Gdyby Tomasz L. zastanowił się nad przypadkiem Artura R. trochę dłużej, być może doszedłby do wniosku, że nie ma on po prostu czasu na oglądanie telewizji, gdyż jest zbyt zajęty ciągłym śledzeniem spinkowych statystyk oraz bieganiem po sklepach w poszukiwaniu nowych egzemplarzy. Mimo tego dziwactwa, Artur był jednak odbierany pozytywnie i stanowił dobry przykład na to, jak poradzić sobie z telewizyjnym problemem.

Wielogodzinne rozważania sprawiały, że Tomasz L. stawał się coraz bardziej wycieńczony. Rozbolała go głowa. Nie było jednoznacznej odpowiedzi,

a przynajmniej on nie potrafił jej znaleźć. Próbował podejść do problemu od najbardziej racjonalnej, matematycznej strony. Nie przyniosło to jednak oczekiwanych rezultatów. Gdyby policzyć pana Czarnego jako głos za telewizją, byłoby trzy do dwóch. Jednak chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie dodałby telewizji całego punktu za Emmę. Ona mogła być warta co najwyżej półowkę. Poza tym, Hubert Hubert oszukiwał, bo miał telewizor, ale ciągle go krytykował, więc powinien być liczony po obu stronach. Wtedy byłoby trzy do dwóch i pół na korzyść braku telewizora, ale to oznaczałoby całkowicie poważne potraktowanie Sabiny, co było absolutnie niemożliwe. W końcu była artystką i patrzyła złym okiem na wszystkie zdobycze nowoczesnej cywilizacji, może poza sprzętem do układania włosów. Była też kobietą, tak samo, jak zresztą Emma, co oznaczało dedukcję ćwierć punktu. Jedynym w miarę rozsądnym człowiekiem w tym gronie był Artur R., co chyba nienajlepiej świadczyło o całym towarzystwie.

Tomasz L. załamał ręce. Zdał sobie sprawę, że każda decyzja będzie równie nieuzasadniona i irracjonalna. Równie dobrze mógł rzucić monetą. Właściwie, dlaczego nie? To prawda, przez wiele lat pieczołowicie planował swoją autostradę do szczęścia i nie do pomyślenia wydawało mu się zdanie na ślepy los. Jednak co zrobić, kiedy na drodze brakuje sensownego oznakowania? Tomasz L. był względnie inteligentnym człowiekiem i wiedział, że nie może iść jednocześnie w prawo i w lewo. Trzeba było coś wybrać. Bardzo zależało mu na tym, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję. Czuł, że w przeciwnym wypadku będzie musiał nadal stać w tym samym punkcie salonu i trzymać w ręku tę idiotyczną czaszkę. Był głodny i miał dosyć, w dodatku ręka zaczynała już go boleć, bo rzeźba była dosyć ciężka.

Niech będzie rzut monetą. Przez moment metoda ta wydała się Tomaszowi L. zbyt prozaiczna i zastanawiał się, czy nie lepsze byłyby kości. Kiedy jednak pomyślał o tym, że musiałby każdej liczbie oczek przypisać odpowiednie znaczenie, zrozumiał, że rzut monetą to dużo lepsze wyjście. Są dwie strony monety i dwie możliwości. Orzeł – kupuje największą, najbardziej płaską plazmę, jaką znajdzie w sklepie i w końcu będzie miał okazję obejrzeć kolejny sezon „Zatańczcie z kozłami". Reszka – rezygnuje z oglądania telewizji, w miejscu przeznaczonym na telewizor wiesza jeszcze jeden obraz wschodzącej gwiazdy polskiego malarstwa awangardowego, samotne wieczory spędza czytając encyklopedię. Obie opcje wydały mu się nad wyraz kuszące. Tomasz L. ucieszył się, że wszystko tak sprytnie sobie obmyślił. Wyjął portfel, żeby przygotować odpowiednią monetę. Niestety, najwyższym nominałem, jaki miał przy sobie było marne pięćdziesiąt groszy. Nie był pewny, czy to ma jakiekolwiek znaczenie, ale z jakiegoś powodu czuł, że do podjęcia tak istotnej decyzji powinno się wykorzystać co najmniej dwuzłotówkę. Najchętniej rzuciłby swoją kartą kredytową, albo chociaż jakimś banknotem – pięćdziesiąt złotych nadawałoby się

chyba całkiem nieźle. Tomasz L. nie słyszał jednak o nikim, kto rzucałby banknotem zamiast monety, dlatego czym prędzej zaniechał dalszych rozważań na ten temat. Zbiegł do sklepu na dole, gdzie zdobył błyszczące pięć złotych. Może i pozostawiał decyzję Fortunie, co było trochę ryzykowne, ale na pewno nie zamierzał ryzykować jeszcze bardziej, używając pięćdziesięciogroszówki. Tomasz L. wrócił do mieszkania ze lśniącą monetą w dłoni i stanął w tym samym miejscu salonu, co wcześniej. Duża pięciozłotówka była jak najbardziej na miejscu. Kiedy przyglądał się wirującej w powietrzu monecie, Tomasz L. czuł, że szczęście jest o krok od niego.

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

Rysunek
Alicja Walkusz

ISBN 978-83-60731-07-9

Wydano nakładem:
Miasta Lęborka
Starostwa Powiatowego w Lęborku
Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana
w Gdańsku

Projekt składu i druk
DRUKRANIA BOXPOL
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel./fax 59 842 43 71
e-mail boxpol@post.pl
www.boxpol.pl